Nr. 21. Warszawa, dnia 10 (22) Maja 1897 r. Rok XVII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“ (wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 kop. 60, rocznie rs. 10.

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

PO WOJNIE.

I tak skończyła się wojna stoczona bez wypowiedzenia przez stronę zaczepiającą, którą dopiero zaczepiona wyręczyć musiała. Obowiązek bliższy pojęciom cywilizacyi chrześciańskiej spełniło mocarstwo nie chrześciańskie. A po spełnieniu go, uwinęło się z robotą szybko. D. 18 kwietnia ją rozpoczęło, d. 17 maja ukończyło. Pierwsze oddziały ochotnicze, które stanowiły straż przednią armii greckiej, już d. 9 kwietnia ucierały się z Turkami po nad górnym Peneiosem, na gruncie Macedonii; ale wojsko greckie dopiero w tydzień później po nad dolnym biegiem tej rzeki ruszyło na nieprzyjaciela. Tej zaczepki już wyprzeć się nie mogła Grecya, jak wypierała się pierwszej, spełnionej za pomocą ochotników. Padyszah nazajutrz wręczyć kazał posłowi Maurikordato paszporty, a w sam dzień Wielkiej Nocy wódz turecki, Edhem-basza, wyruszył naprzód wstępnym bojem. Powodzenie w wąwozach górskich nie obyło się bez ciężkich znojów tureckich, nawet klęsk; ale ostatecznie liczebna i taktyczna wyższość, przy przewadze artyleryi, pozwoliła nawale tureckiej wylać się na płaszczyznę przed Laryssą, która w tydzień po pierwszem wystąpieniu Turków znajdowała się już w ich mocy.

Klęski greckie, które sprowadziły upadek Laryssy, miały dla Grecyi znaczenie pogromu — nietylko wojennego, ale i moralnego: żołnierze i oficerowie całemi oddziałami uciekali, i trzeba ich było szukać i zbierać, grozić sądem i kulą, aby przywrócić skupienie, bez którego nie mogło być mowy o najskromniej nawet zakreślonem działaniu. Nareszcie znalazły się większe i mniejsze wióry tego porąbanego toporem tureckim tramu, napowrót w kupie w Phersali, o jakie 9 mil od Laryssy na południe. Deszcze opóźniały posuwanie się Edhema — wogóle deszcz prawie od początku do końca towarzyszył tej improwizacyi orężnej Greków — ale po tygodniu znowu przyszła kolej na Phersalę. Oskrzydlona przez Turków, główna siła grecka cofnąć się zawczasu musiała, aby uniknąć Sedanu. Prawe skrzydło strategiczne, które z pod Laryssy już cofnęło się było na zachodnie wybrzeże zatoki Volo, zatrzymawszy się najpierw pod Velestino, później, po wydarciu mu tego stanowiska przez Turków, za przykładem głównego korpusu zrejterowało na południe. Nowa, trzecia z rzędu linia bojowa Greków przecięła Domoko i Armyro: tam stanęli ustępujący z Phersali, tu — z Velestina, w tak wielkiej już, 8 do 9-milowej odległości, iż żadnego związku już mieć nie mogli. Uporczywość skrzydła poruszającego się po nad zatoką, ułatwiała ta zatoka. Co uciec nie zdążyło lądem, to miało jeszcze czas uciec morzem.

Na ostatniej już swojej linii bojowej, odlegli byli Grecy o jakie 15—16 mil od czoła, jakiem nacierali w d. 16 kwietnia, na północy od Peneiosu. Coraz bliżej Aten, coraz dalej od Macedonii. Nareszcie i linia Domoko-Armyra obronić się nie dała. D. 17 b. m. natarcie Turków na pierwszą z tych miejscowości zmusiło wojsko greckie do zaczerpnięcia raz jeszcze z tego tak obfitego południa i ukrycia się za górami Othrys, oddzielającemi Tessalię od Ftiotydy, gdzie rozpoczyna się właściwa Grecya. Dopiero wyparowanym z prowincyi, która w r. 1881 turecką była, dał sułtan na prośbę Grecyi i Europy zawieszenie broni. Wojna grecko-turecka od tej chwili znajduje się w dobie wyczekiwania pokoju.

Niezależnie od działań w Tessalii, bez najmniejszego strategicznego związku, przy szczupłości sił nader nierozważnie, z wielką stawką a małą nadzieją wygranej, rząd grecki postanowił natrzeć na turecki jeszcze Epir i Albanię i wysławszy flotę i wojsko do zatoki ambracyjskiej (Arta) zaczął zdobywać Prewezę jeszcze przed rozpoczęciem wojny prawidłowej i przez sześć tygodni łudził się marą powodzenia, którego istotnie małemi porcyjkami los mu wydzielać nie zaniedbał, aby mu więcej temi uśmiechami swemi zaszkodzić, niż pomódz. Cała ta wyprawa, przy końcu, już po uderzeniu w prośby, z niezupełnem poszanowaniem moralności podsycona, stanęła ostatecznie tam, gdzie stała w pierwszej chwili: w okolicach Arty i Prewezy i prócz rozdzielenia sił, zmarnowania ich bez skutku, zamiast użycia tam, gdzie potrzebnemi były a pożytecznemi stać się mogły, nic przyniosła Grekom nic — tylko rozczarowanie.

Co teraz będzie, jaki pokój, pod jakiemi warunkami? Sułtanowi grzebień koguci napęczniał. Cesarz Wilhelm podbija jeszcze to naturalne, logiczne poczucie wyższości i naturalną także pychę turecką. Europa, zgodna, teraz dopiero nareszcie zgodna, jak zapewnia *Eclair*, nie wytknęła przecież jeszcze tą zgodnością swoją sułtanowi kresu, po za który posunąć mu

się nie będzie wolno. Abdul Hamid chce całej Tessalii, a Szeik-ul-Islam imieniem Allaha żądanie to popiera; chce wielkiej, jak na skarbowość grecką, kontrybucyi (podobno kilka mil. funt. tureckich, większych od angielskich); chce zwrócenia kapitulacyi, tj. przywilejów częściowej exterytoryalności, służących Grekom; chce—czegóżby chcieć nie mógł, jeśli mu tylko Europa chcieć pozwoli, a cesarz Wilhelm, ze swego specyalnego punktu widzenia tego świata, rozzuchwalać go będzie? Przy rozpoczęciu wojny każdy przewidywał, że koncert europejski skorzysta z niej, aby obmyśleć między sobą pokój i obu stronom go narzucić. A tymczasem dziś jeszcze wszystko jest do zrobienia; lord Salisbury zapewniać jeszcze musi, że sprawa pokoju jest bardzo zawiła: mocarstwom żal kraju chrześciańskiego, ale widzą, że Grecya ukaraną być powinna. Tak więc zajęła Europa stanowisko nieubłaganego pedagoga. Chłostę losu wojennego za niewystarczającą jeszcze uważa do politycznego wyedukowania Greków; wychłostać ją pozwoli jeszcze Turkom — traktatem pokoju. Prawdopodobnie skończy się na tem, że Grecy zapłacą jakie 50 milionów drachm kontrybucyi, pozwolą na lekkie, strategiczne uporządkowanie granic z Turcyą, uznają Kretę za turecką, a na czas spłacania kontrybucyi wpuszczą Turków do Tessalii. Prawdziwie, nieszczęście, wyzwane przez nierozwagę i łatwowierność, rozsrożyło się nad Neo-Grekami.

Tydzień polityczny. Wojna grecka skończona. Grecy ustąpili za góry Othrys, Turcy ścigać ich tam nie będą. Zawieszenie broni zakończyło pokój, na który jednak Grecya jeszcze poczeka. Może on być nawet ciężki, a groźba Rallisa, prezesa gabinetu, że Grecy pójdą w ostateczności na noże, jest tylko przechwałką, jakby etatową tej nieszczęsnej wojny.

Izba deputowanych Rady państwa w Wiedniu świętuje. Niemcy liberalni nie pozwalają jej obradować; hałasem, krzykiem, ulicznikowstwem, karczemnością przerywają posiedzenia, które może w przyszłym dopiero rozpoczną się tygodniu. Komisya adresowa będzie mogła swe czynności przyśpieszyć. Większość trzymająca z rządem uchwaliła adres, zredagowany przez p. W. Dzieduszyckiego w duchu federalistycznym. Mniejszość niemiecka zasypuje go już kulami ognistemi. Od poniedziałku stronnictwo postępowe niemieckie wykłada już swoje myśli, uczucia i zamiary, w strasznie długim projekcie, którego nie przełknąłby nawet tak cierpliwy człowiek, jak cesarz austryacki. Oczywiście duch tego operatu jest centralistyczny. Chwytając żar chwili obecnej, rozporządzenie o języku w urzędach czeskich, mniejszość wrzuca go w swój adres i miesza w jednym kotle z zasadami „jedynie zbawczemi," tj. z pretensyami Niemców do wyłącznego rządzenia Austryą.

Ugoda z Węgrami także na najgorszej drodze. Translitawia daje zaledwie 32,5%, Cislitawia dopomina się 36%. W końcu tego tygodnia mają ministrowie obu stron zjechać się w Peszcie, aby spróbować zgody — raz jeszcze. Potem sejmy głos zabiorą, a po nich ostatecznie król-cesarz.

W Danii przesilenie gabinetowe. Folkething nie chciał dać pieniędzy na obwarowanie Kopenhagi. Prezes gabinetu, p. von Reedtz, nie chciał znowu rządzić bez budżetu. Król powołał p. Estrupa, który bez uchwalonego preliminarza przez wiele lat obywać się umiał. Nowe ministeryum jeszcze nie stanęło.

We Francyi wypadek przy ulicy Jean Goujon nabrał politycznego znaczenia, wzbogacił się politycznemi manifestacyami. Ojciec Olivier, dominikanin, zaciekły fanatyk, w obecności Faure'a, zwymyślał dzisiejszą rzeczpospolitę, demokracyę, postęp i wszystko, co żyje. Krzyk w Izbie, zasiadającej od 19 b. m., pewny.

W Belgii na 13 czerwca przygotowują generalowie wielki meeting ludowy o wprowadzenie powszechnego obowiązku służby wojskowej. Król ruch popiera.

W Prusiech cesarz Wilhelm wywołał nowelę do prawa o stowarzyszeniach i zgromadzeniach z r. 1850, gorszą jeszcze od wielce już złego prawa. Zachowawcy opór stronnictw ogólnie społecznych, nie kastowych, uważają za bunt i uderzają w dzwon pożarowy. Stronnictwo wolnomyślne w sejmie niemieckim zażądało zniesienia zakazu, który tamował związki między pojedyńczemi stowarzyszeniami z celem politycznym.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

KRONIKA POZNAŃSKA.

Poznań, 17 maja.

Uświadomienie i solidarność śród ludu. — Prześladowania. — Szykana w Berlinie. — Solidarność działań ministeryalno - policyjnych. — Związek wszechniemiecki. — Nowe zabiegi w sprawie nauczycieli i szkół. — Nowy zwrot w programie działalności hakatystów. — Sprzymierzeńcy hakatystów. — Patryotyzm kieszeni. — Zjazd lekarzy i przyrodników polskich w Poznaniu.

„Najnowszy kurs polityki" pruskiej nie przestaje być sprawą żywotną, pochłaniającą umysły wzburzone. Jak rzekłem w poprzednim liście, podnieta nienawiści rasowych, szerzona przez hakatystów, jednocześnie podnieca dzielniejsze żywioły polskie do obrony swych praw i zachowania odrębności narodowej. Zwycięstwo kandydata polskiego, p. Juliana Jaworskiego, którego wybrano większością *1,000* głosów, posłem do parlamentu, można także uważać jako objaw tej reakcyi. Władze miejscowe, krępujące i prześladujące zebrania wyborcze polskie, wzbudzają silną agitacyę postronną, nie gardzącą nawet środkami przymusowymi.

Co do działalności hakatystów, napięcie jej daje się zauważyć w kierunku odśrodkowym. Z największą namiętnością plują dzienniki wrocławskie, berlińskie i nadreńskie, gdy natomiast namiętność owa słabnie w ognisku. Nie dowodzi to wszakże, żeby jego wpływ miał osłabnąć. Przeciwnie, prasa powyżej wzmiankowana rozpaliła ogniska nienawiści plemiennej z iskier przyniesionych przez hakatystów, przejęła się ich metodą i nie ustaje w swej działalności. Miota kłamstwo, złość i wszelkiego rodzaju podłość, krzyczy i alarmuje swych współbraci, widzi niebezpieczeństwo, grozę tam, gdzie zupełna cisza panuje.

---

3)

W. DOROSZEWICZ.

Na Sachalin.

Młotki wesoło uderzają.

Część aresztantów, wyszedłszy ze spodu okrętu, pośpieszyła na burcie, ażeby popatrzeć na świat wolny, niezmierzone przestwory morza, błękit nieba, góry, zarysowujące się w dali, jak obłoki na widnokręgu.

Inni śledzą robotę załogi maszynowej. Słychać śmiech, dowcipy, naturalnie z pewną powściągliwością: tu przecież władza.

Chłop rozkuty, o twarzy głupkowatej i nieco krótkim wzroku, przeżegnał się, gdy mu spadły kajdany, cisnął je do kupy i wesoło w podskokach zmierza ku swoim.

— A numer od kajdan wziąłeś? — zapytał go stary bywalec-włóczęga.

Chłop zmieszał się.

— A na co?

— Żebyś nie zginął drugim razem!

Dokoła śmiech.

Zwykły dowcip aresztancki, zachowywany w pamięci przez bywalców-włóczęgów. Dla większości to nowość.

Chłop zrozumiał, że z niego zażartowano i uśmiechnął się szeroko.

Większość żegna się, gdy kajdany spadają.

Wszyscy przechodząc koło oficera starszego, wołają wesoło:

— Dziękujemy pokornie, wielmożny panie.

— Cóż, lżej? — zapytuje.

— Jakbym się na nowo narodził — odpowiada jeden.

— Nóg, wielmożny panie, nie czuję.

— Jak się nazywasz?—pyta oficer starszy włóczęgi.

— Teodor.

— Długo byłeś w kajdanach?

— Drugi rok idzie.

Jeden kroczy ponury. Uwolnienie z kajdan zdaje się żadnego nie wywarło nań wrażenia.

— Ktoś ty?

— Sekretarz! — poważnie odparł włóczęga.

— Nie rad jesteś, że rozkuto?

— Dla mnie cóż tam? Noszę je cztery i pół lata. Przywykłem.

Ktoś nie znalazł swoich podkładek skórzanych przy kajdanach.

— Rozkują, to znajdziesz.

Pozostawiają go tymczasem w kajdanach.

Po dwu godzinach podkładki znalazły się. Czy je kto skradnie na podeszwy, czy gdzieś zaginą, znaleźć się muszą. To sprawa „ogólna"; uczestniczy w niej cały oddział.

— Wielmożny panie, podkładki aresztanta pierwszego oddziału znalazły się!—raportuje podoficer konwoju, gdy się zaczęło rozkuwanie oddziału drugiego.

— Rozkuć teraz.

Wesoło uderzają młotki.

Ludzie, kładąc na czole i piersiach znak krzyża, z uśmiechem i żartem na ustach, odchodzą od kowadła.

Na uboczu „ojciec" duchowy, rozmawia z włóczęgą — *duchoborcem**), który wyraził chęć zwierzenia się w sprawie wstrząsających nim wątpień.

Mowa o czczeniu obrazów świętych.

Duchowny. Rady włóczęga z głową do połowy ogoloną. O dwa kroki szyldwach z karabinem u nogi. Stuk młotków.

Co za oryginalna dekoracya dysputy religijnej!

*

Przerwa na obiad, a pod wieczór rozkuwanie skończone.

Koło masztu leżą stosy kajdan.

Nie słychać więcej brzęku.

Zapanowała oddawna oczekiwana i pożądana cisza.

Między oddziałami zaczęły krążyć listy.

„Pozdrawiam was i Rabczyka, i Iwana Niepomnego i Antoniego i Semiona Azowskiego i drugiego towarzysza, Jaszę Bezprzytulnego, pozdrawiam z powodu zdjęcia znaków cielesnych."

IX.

Włóczęgi.

Zowią go Iwanem.

Nazwiska, krewnych, rodziny i miejsca rodzinnego — nie pamięta.

*) Odszczepieniec, zaprzeczający bóstwa Duchowi Świętemu (*Przyp. tłómacza*).

To, co prasa mówi i czyni, jest szczerym wyrazem przekonań i dążeń rządu pruskiego. Twierdzi on, że ponieważ Polacy w prowincyach wschodnich są „stroną zaczepną,“ więc trzeba z nimi walczyć, bronić „interesów zagrożonych.“ Do długiego szeregu prześladowań różnorodnych przybył ucisk prasy. W ciągu ostatnich kilku tygodni liczba procesów prasowych przerosła cyfrę z okresu kilkoletniego. Wreszcie przyszła kolej na scenę polską. Poznańskie Towarzystwo dramatyczne postanowiło urządzić szereg przedstawień w Berlinie, ze względu że stolica Niemiec liczy obecnie 50,000 Polaków. P. Rygier, dyrektor teatru, zawarł już nawet umowę z właścicielem „Reichshallentheater,“ ogłosił repertuar, rozprzedał bilety na kilka pierwszych przedstawień; gdy naraz spada niespodzianie protest policyi, na tej niby zasadzie, że koncesya p. Rygiera nie obejmuje Berlina. Jest to szykana najwidoczniejsza; w tym samym gmachu grywały bez specyalnych pozwoleń towarzystwa włoskie, francuskie, hiszpańskie, gdyż na to właściwie nie towarzystwa dramatyczne, lecz gospodarz Reichshallentheatru ma pozwolenie ogólne. Zresztą ta sama policya miała czas dać osobne upoważnienie p. Rygierowi, gdy się do niej zwrócił o pozwolenie na przedstawienia. Tę okoliczność właśnie zaznaczył także jeden bezstronny organ prasy berlińskiej. Policya jednak albo działała samodzielnie, licząc zgóry na uznanie władzy wyższej, albo też postąpiła według wskazówek owej władzy; bo gdy kilku posłów zwróciło się w tej kwestyi do ministra spraw wewnętrznych, odmówił stanowczo uchylenia rozporządzeń policyjnych.

Pomijając już bardzo smutną stronę moralną tego zajścia, świadczącą, jak głęboko nienawiść rasowa rozwinęła się śród przedstawicieli prawa i sprawiedliwości, śród „obrońców uciśnionych“—cierpi na tem materyalnie cała gromadka pracowników scenicznych. Po tym dotkliwym zawodzie kto wie, czy Towarzystwo nie będzie musiało się rozwiązać, gdyż w obecnym sezonie nie może ono liczyć na powodzenie w Poznaniu, a mając zapewnioną pracę w Berlinie, nie mogło czynić zabiegów w innych miastach. Jest to pora spóźniona dla wszelkich kontraktów teatralnych.

Pokrewnym w działalności z hakatystami jest „Związek wszechniemiecki“ (*Alldeutscher Verband*) Posiada on liczne filie, których członkami są urzędnicy państwa niemieckiego. „Pracuje“ głównie na ziemiach słowiańskich, bo tu jest najszersze pole do wypielęgnowania znamiennych cech antropologicznych, z których, w związku z pierwiastkami historycznymi, płynie nienawiść rasowa. Stowarzyszenie to liczy dziś przeszło 10,000 członków, popierających 50 filij krajowych i zagranicznych. Istnienie organu urzędowego tego stowarzyszenia, *Alldeutsche Blätter*, podtrzymuje 4,367 abonentów. Dochód Związku wynosi ogółem 30,713 marek 50 fen. W rubryce rozchodu, obejmującego 28,966 m 29 f., są oznaczone wydatki na podróże, zapomogi dla „przedsiębiorstw narodowych,“ agitacye itd. Wydatki na agitacyę tudzież urządzanie przedsiębiorstw niemieckich w dzielnicach Prus i Austryi, jak zaznacza organ urzędowy, rosną nieustannie.

Członkowie tego związku w W. Ks. Poznańskiem utworzyli Stowarzyszenie ewangelickie dla opieki nad sierotami. Zadaniem jego jest przenoszenie opuszczonych i osieroconych dzieci niemieckich z wielkich miast do Poznańskiego, aby tym sposobem wzmocnić tam „zagrożoną sprawę narodową.“ W tym celu związek powyższy nabył od komisyi kolonizacyjnej folwark Ruchocin w pow. Witkowskim (36 morgów parku i ogrodu, 60 morgów roli). Tam urządzi zakład dla sierot ewangelickich, które następnie oddawane będą do służby niemieckim rodzinom włościańskim i rzemieślniczym. Sprawozdanie zapowiada, że skoro tylko Związek uzyska środki niezbędne, urządzi więcej takich zakładów. „W ten sposób z czasem wzmocni się sprawa niemiecka na kresach wschodnich.“ Związek ten nie zasypia sprawy swojej i w innych państwach, o czem świadczy program kongresu, który się odbędzie w Lipsku 9 i 10 czerwca. Obradować ma między innemi nad położeniem Niemców w obrębie państwa rosyjskiego i Austryi.

W sprawie szkół i nauczycieli przedsięwzięto nowe zabiegi dla wyjednania ulg. Czy będzie skutek pomyślny trudno przypuścić. Tak np. zarząd związku towarzystw nauczycieli katolickich w W. Ks. Poznańskiem wystosował osobne podanie do ministra oświaty, Bossego, w sprawie ich prześladowania. Zarząd mniema, iż rozporządzenie ministra, przyczyniające się do ucisku towarzystw katolickich, wynikło z wskazówek fałszywych, a więc w podaniu wyjaśniono, że dotychczas w całej działalności nauczycieli nic takiego nie było, co by się nie zgadzało z prawem. Zapewne p. minister odpowie, iż wierzy bezwzględnie swoim urzędnikom.

Inne zabiegi przedsięwzięło Koło polskie. Przy rozprawach nad budżetem ministeryum oświaty i wyznań w sejmie pruskim, postawi ono wniosek formalny o wykreślenie z budżetu następujących „pozycyj antipolskich“: 1) „Dla uczniów pochodzenia niemieckiego celem osiedlenia ich następnie w prowincyi zachodnio-pruskiej, w Poznańskiem i w obwodzie regencyi opolskiej 100,000 marek. 2) Dla uczniów niezamożnych pochodzenia niemieckiego, uczęszczających do gimnazyów i szkół realnych, dla zużytkowania później ich pracy na terytoryach powyższych, 50,000 m. 3) Na poparcie niemczyzny w wyższych szkołach dla dziewcząt 90,000 m. 4) Na poparcie niemczyzny w szkołach ludowych tychże miejscowości 630,000 m. 5) Na poparcie niemczyzny do funduszu dyspozycyjnego, przeznaczonego na naukę elementarną tamże, 40.000 m. Razem 910,000 m. Optymiści wierzą święcie, że ten wniosek będzie przyjęty. Smutne doświadczenie jeszcze nie odebrało im tej zabawki — nadziei.

Mówiąc o ucisku żywiołu polskiego, niepodobna pominąć nowego zwrotu w programie działalności hakatystów. Jest to zwrot, świadczący, że wiele środków dotychczasowych zawiodło. Oto wyszła broszura, podobno napisana przez pastora-hakatystę z Poznańskiego. Żąda on powtórnego wydania stu milionów, ale co ważniejsza — przywrócenia języka polskiego we wszystkich szkołach ludowych *dla Niemców*. Ułatwi to im walkę konkurencyjną z Polakami na polu zarobko-

---

Pieniędzy „przy duszy“ — jedną kopiejkę.

Na Sachalinie czeka go chłosta — 30 uderzeń.

Ecce homo!

Oto „homo sapiens.“

Zapracowana jedna kopiejka po za nim i 30 uderzeń — przed nim.

Oto cała jego przeszłość i cała przyszłość.

Ale Iwan, który zazna „nowego życia,“ z jedną kopiejką, to jeszcze w porównaniu z innymi kapitalista.

Są inni Iwanowie, którzy jadą na Sachalin z jedną ósmą kopiejki, z setką uderzeń w perspektywie.

Pracowało w turmie ośmiu ludzi, zarobiło osiem rubli i kopiejkę.

Rubla Iwan przepił, a jedna ósma kopiejki należy mu się według prawa. Przenoszona z książki do książki, przekazywana za pokwitowaniem, jedzie z nim razem pod rubryką „sum aresztanckich.“

I wiozą Iwana za 216 rubli *) na Sachalin.

A tam jeszcze nie zdążył parowiec przybić, czeka już go depesza:

„Odstawić powrotnie Iwana Niepomnego (wysłanego na mocy wyroku sądu) dla poczynienia zeznań w wołogodzkim sądzie okręgowym w sprawie o zabójstwo kupca.“

Iwanowi naprędce wymierzają chłostę i tym samym parowcem za 216 rs. odsyłają napowrót.

*) Opłata za transport i wikt aresztanta.

I jedzie Iwan morzem, oceanem do Wołogdy.

— Co możesz powiedzieć w sprawie zabójstwa kupca?

— Bij zabij nic nie wiem, bom wtedy właśnie siedział w turmie astrachańskiej.

I wiozą Iwana znowu z Wołogdy na morze Ochockie.

Po co wmieszano Iwana do sprawy o zabójstwo jakiegoś kupca wołogodzkiego, którego on nigdy nie widział?

Mogą być różne przyczyny.

Może się umówił z jakim przyjacielem-włóczęgą:

— Sprowadź z Sachalina!

I ten po otrzymaniu listu z Port-Saidu: „Żywy i zdrowy jadę na Sachalin pomyślnie, czego i tobie, mój przyjacielu, z duszy życzę“ — zawiadomił prowadzących sprawę o zabójstwo kupca, że „taki to włóczęga wie coś o tem!“

A może Iwana „więzienie zażądało,“ jako człowieka doświadczonego, bywalca i świadomego praw.

Zdarzył się jakiś wypadek z pewnym aresztantem; sami nie mogą wyjaśnić, więc postanowili sprowadzić znakomitość — włóczęgę Iwana.

Robi się to i „dla spraw różnych,“ i gwoli przyjemności.

Dlaczegóżby stary włóczęga nie miał się powłóczyć i po morzu?

A to po drodze z turmy do turmy, być może, uda się umknąć.

Tym sposobem Iwan, podróżujący z jedną kopiejką, kosztuje skarb 648 rs.

* * *

Włóczęgi bywają trzech typów.

Włóczęga zwyczajny.

Zapomniał, co on za jeden, gdzie się urodził, gdzie mieszkał, z kim się znał.

Wiem tylko, że nazywają mnie Iwanem i nic więcej.

Taki idzie na Sachalin wprost na osiedlenie.

Są „włóczęgi-figlarze.“

Siedzi sobie np. w więzieniu chersońskiem i naraz zawiadomił władzę:

— Chcę powiedzieć, com za jeden. Oto jestem włościanin gubernii Tulskiej powiatu Epifańskiego, gminy Dudkińskiej, wsi Zaborówki. Ukrywałem się z głupoty. Źli ludzie nauczyli.

Pędzą Iwana do Zaborówki.

Tam takiego „jak żyją nie widzieli.“

Po prostu chciało się człowiekowi nogi wyprostować, popodróżować, przewietrzyć się.

Za te „figle“ dodają mu do „posielenia“ rózgi, które są wymierzane natychmiast po przybyciu na Sachalin, że tak powiem, jako wstęp do nowej fazy życia.

Wreszcie trzeci typ — to „powrotny.“

Człowiek, który z miejsca zesłania ucieka.

Taki po przybyciu na osiedlenie dostaje baty.

* * *

Skąd się tworzy ta wolna armia włóczęgów, której imię jest legion?

„Z jakich oni?“

Ileż tam profesyj ma swoich przedstawicieli!

wem. Autor jest przerażony działalnością pomocy naukowej dla młodzieży Karola Marcinkowskiego. Posiada ono majątku, według jego obliczeń, 761,000 marek, wydaje zaś rocznie na stypendya 53,000 m. *Posener Ztng* uspokaja biedaka-hakatystę faktami: Oprócz stu milionów na wykupienie ziemi polskiej, rząd pruski daje przecież co rok 100,000 marek na stypendya dla młodzieży niemieckiej śród ludności polskiej; nadto Towarzystwo hakatystów na ten cel wydaje olbrzymie sumy.

Hakatyści radziby wydrzeć przedsiębiorcom polskim grunt pod nogami, a przecież ci sami przedsiębiorcy w obronie interesów własnych stali się sprzymierzeńcami, bo oto przerażeni agitacyą przeciwko odwiedzaniu „badów,“ starają się za pośrednictwem swojej prasy zapobiedz temu, Tak np. p. Kulerski, redaktor *Gazety Grudziądzkiej* i zarazem *właściciel domu* w Sobotach, chce napędzić sobie lokatorów.

— Patrzcie, jam gorący i pożyteczny działacz na polu dobra narodowego. Kupiłem dom i dzięki temu mogłem w miejscowości najbardziej niemieckiej, Grudziądzu, założyć pismo polskie, które dziś pomiędzy ludem ma 3,600 abonentów. Mógłbym przecież sprzedać ten dom w Sobotach, „zbojkotowanych“ przez publiczność polską. W każdej chwili Niemiec chętnie nabyłby moją nieruchomość. Ale to byłoby opuszczeniem posterunku narodowego; więc, moi mili, przyjeżdżajcie do Sobót, zapłacicie mi wysokie komorne, bo przestanę być dzielnym bojownikiem na polu dobra narodowego!

Nie na tem się kończy zachęta. Soboty (czyli Copoty, jak stale piszą niektóre dzienniki warszawskie, a głównie *Słowo*), leżą w okręgu, który wybiera posła polskiego; wiejska ludność okoliczna jest polską, a więc przebywanie gości polskich w tej miejscowości i obcowanie z nią bardzo korzystnie na tych mieszkańców wpłynie!

Nadmienię jeszcze, że tego przedsiębiorcę popiera *Słowo* warszawskie. Nie dziwne to, co prawda, ale... dajmy lepiej temu pokój...

Towarzystwo przyjaciół nauk w Poznaniu zwołało zebranie, które roztrząsało sprawę urządzenia nad Wartą IX zjazdu lekarzy i przyrodników polskich. Więc ten postanowiono już urządzić przed siedmiu laty na zjeździe w Krakowie, ale z powodu wystawy galicyjskiej w r. 1894 Lwów wystąpił na plan pierwszy. Zjazd także r. b. nie mógł dojść do skutku w Poznaniu, z powodu wiecu lekarzy i przyrodników w Moskwie. Ostatecznie postanowiono zwołać go w Poznaniu na wiosnę 1898 r. Poczyniono już przygotowania i utworzono komitet z kilku sekcyami.

et.

„MADEMOISELLE CHOURGOTTE.“

Paryż, 10 maja.

Może nie ma w Europie społeczeństwa bardziej dbałego, niż nasze o wychowanie dziatwy, ale też chyba niema gorzej biorącego się do rzeczy. Postępujemy tak, jakbyśmy nie zdawali sobie sprawy z tego, czem jest wychowanie; nie wiemy, czy nie pamiętamy, że to, co się w potocznej mowie — z cudzoziemska — zwykło nazywać *edukacyą*, powinno kojarzyć w sobie wszechstronny rozwój jednostki: wyrobienie charakteru, wykształcenie głowy i serca, zahartowanie ciała. Wszystko to razem łączy się i oddziaływa na się wzajemnie. Dobre skłonności, szlachetne porywy, uzdolnienie artystyczne tem większej nabywają trwałości, wartości i mocy, im silniej a logiczniej rozum je wspiera. Wychowanie tylko wtedy odpowie swemu zadaniu, jeśli umoralni, uszlachetni, uspołeczni jednostkę, jeśli ją przysposobi do samodzielnej pracy w dwojakim kierunku: osobistym i obywatelskim; uposaży w to wszystko, co stanowi rzeczywistą wartość człowieka, a zarazem ułatwi owo „bojowanie,“ jakiem jest, według Hjoba, żywot ludzki.

Ale ponad kwestyą edukacyjną stokroć wyżej stawi społeczeństwo nasze uczciwość obyczaju, nieskazitelność ogniska domowego, którego pieczę przedewszystkiem i niemal wyłącznie na odpowiedzialność kobiety składa. Nietylko w poezyi, lecz i w rzeczywistości lubimy otaczać kobietę wszystkimi wdziękami, a raczej urokami, płynącymi z przymiotów duszy.

Dla zrealizowania przez wychowanie tak wysoko postawionego ideału kobiecego, dla przygotowania dziewczynki do przyszłej roli kapłanki ogniska domowego, anioła rocieszyciela itp. sprowadzamy... bonę francuską i staramy się najpierwej, aby aniołek zaczął paplać akcentem paryskim.

Na co nam ten akcent paryski?.. Jakiem dobrodziejstwem jest ta mowa francuska?., Dlaczego z niej zrobiono jakiś dogmat edukacyjny?.. Chyba dlatego, że w ten sposób wychowuje swoje dzieci baronowa A., hrabina B., księżna C.

Miejmyż nakoniec odwagę powiedzieć sobie, że nie zawsze najlepiej są wychowane baronówny A., hrabianki B., księżniczki C.

Spytajmy też siebie lub kogoś, co to jest bona, zwłaszcza najsympatyczniejsza dla nas *bona* francuska, tak niezbędna w każdym domu, mogącym wydać sto kilkadziesiąt rs., jak kanapa do bawialni, a kapelusz do wyjścia?

Boną nazywa się we Francyi sługa tej kategoryi, co w Warszawie „młodsza.“ Francuzi nawet dodają „bonne à tout faire“ (dobra do wszystkiego), jakoż takiej *bony* używa się do wszystkiego. Ona sprząta w pokoju, zmywa statki, ceruje, prasuje, usługuje i bez wzdragania się gotowa do spełnienia powinności małżeńskich, nie wymagając wcale formalności kościelnych lub cywilnych. Mówię to bez ogródki i kładę na to nacisk, żeby się nam już raz otworzyły oczy.

„Une bonne d'enfants,“ to taż sama młodsza, nasza Kachna, czy Marysia, która doi krowy i karmi nierogaciznę z tą różnicą, że bona francuska *musiała* korzystać z przymusowej nauki elementarnej, czyli, że umie czytać, pisać i rachować. Niestety, jednak czytanie i pisanie wszystkiego nie zastąpią, są tylko środkiem, narzędziem, do zdobycia czegoś więcej. Owo coś więcej, ów wyższy stopień wykształcenia i udoskonalenia. jest dziewięćdziesiąt dziewięć razy na sto literą martwą. Nauka czytania służy przedewszystkiem prostej dziewczynie do pożerania odcin-

---

Śród tej masy włóczącej się, „nieznającej żadnego rzemiosła, nieumiejącej czytać i pisać,“ są i introligatorowie, i cieśle, i stolarze, i grawerzy; zdarzył się przed kilku laty i zecer, który nie wiadomo dlaczego uznał ciężkie powietrze turmy za lepsze, niż przesycone pyłem ołowianym w drukarni.

Piśmienni zwykle najmują się do pisania listów aresztantom niepiśmiennym.

Z charakteru pisma można nieraz poznać, że pod pseudonimem „Niepomnego“ ukrywa się człowiek, piszący bardzo biegle, wprawnie, w najrozmaitszy sposób, często kaligraficznie.

*

A gdy się parowiec zbliża ku Sachalinowi, ze spodu zaczynają do władzy transportującej napływać podania:

„Jako zesłany na osiedlenie w Sachalinie, mam honor najpokorniej prosić o łaskawe znalezienie mi miejsca lub zajęcia. Mogę udzielać lekcyj w zakresie programu szkół średnich, znam teoretycznie i praktycznie języki: francuski, niemiecki i angielski.“

— „Posiadam buchhalteryę.“

— „Obeznany jestem z medycyną.“

— „Mogę udzielać lekcyj muzyki.“

* * *

Jakie przyczyny zmuszają tych ludzi do porzucenia wszystkiego, do zrzeczenia się swobody, stron ojczystych, rodziny, zajęć zwykłych, przyjemności życia, ażeby wlec takie istnienie włóczęgów niepomnych?

Sądzę, że w tym spisie „niepomnych“ kryje się znacznie więcej dramatów i tragedyj, niż w katalogach pisarzów dramatycznych.

Często człowiek „wypiera się samego siebie,“ ażeby uniknąć kary za spełnione przestępstwo.

Często jest to dezerter.

Często pod włóczęgostwem ukrywa się straszny dramat rodzinny.

Chęć uwolnienia bliskich od sromoty.

Przed kilku laty na Sachalin przybył i teraz tam wlecze smutne życie „włóczęga Bazyli.“

Kto się ukrywa pod tym pseudonimem, katorga wie wybornie.

Ale katorga umie milczeć.

Wiadomo tylko; że włóczęga Bazyli ma rodzinę, dzieci. po których usycha z żalu i tęsknoty — żonę, nawet dwie żony.

Człowiek inteligentny ożenił się za młodu z kobietą upadłą, może chciał odegrać rolę Armanda Duvala.

Rola nie udała się i Armand Duval po kilkoletnich męczarniach musiał porzucić swoją Małgorzatę Gothier.

Wyjechał gdzieś indziej, otrzymał posadę i po pewnym czasie dowiedział się o śmierci żony.

Wtedy ożenił się z miłości, był szczęśliwym, miał kilkoro dzieci, gdy naraz odbiera list:

„Dowiedziawszy się, że za mego życia wszedłeś w powtórny związek małżeński, proszę o sto rubli za zachowanie tajemnicy.“

Pogłoska o śmierci pierwszej żony była zmyśloną.

I oto przypominała ona o swojem istnieniu coraz częściej.

„Przyślij sto.“

„Przyślij pięćdziesiąt.“

Pracował na tę szantażystkę dopóty, aż nareszcie jej żądania urosły do rozmiarów niemożliwych.

Żądała przestępstwa.

„Masz posadę i pieniądze powierzone; nie będzie ci trudnem dostać półtora tysiąca rubli; uczyń to, a dam ci spokój na zawsze. Jeżeli zaś tego nie uczynisz na taki a taki termin, to...“ itd.

Pozostawało do wyboru: albo kradzież, albo sprawa o dwużeństwo, hańba dla bliskich. Związek i dzieci będą uznane za nieprawe.

I oto znalazł wyjście z tego strasznego położenia.

Pewnego dnia żona i dzieci straciły męża i ojca.

Znikł bez wieści.

Potem gdzieś na drugim krańcu państwa do władzy miejscowej przyszedł „człowiek nieznany“ i oznajmił:

— Proszę mię aresztować; jam „niepomny“ włóczęga Bazyli.

Na wszystkie pytania odmawiał odpowiedzi i oto teraz mieszka na Sachalinie i usycha z tęsknoty i żalu po swoich.

(C. d. n.).

ków gazet brukowych, do oswajania się z najwstrętniejszym brudem moralnym.

Brunetière niegdyś powiedział, iż wątpi, aby znajdowały się w jakiej literaturze równie sprośne wiersze, jak ich dawniejsze: *romances, chansons* i inne. Tradycya narodowa przechowała się i chyba niema też w żadnej literaturze równie obydnych romansideł, jak te, które drukują ludowe i wogóle wszystkie tanie dzienniki francuskie. Czytanie więc, źle skierowane stało się nowym środkiem zepsucia dla tysiąca istot, pozbawionych zasad. Nie występuję przeciw oświacie ludu, zaznaczam tylko, że powierzchowna nie wydaje dobrych skutków i że taka „mademoiselle Chourgotte," choć umie czytać, pisać i rachować nie stoi moralnie wyżej od naszej Kachny i Marysi. „Mademoiselle Chourgotte" posiada nadto jakieś świadectwo, jakiś dyplomik, że otrzymała naukę elementarną, my zaś posiadamy taką naiwną wiarę w dyplomy wszelkiego rodzaju, iż rzadko kto powątpiewa o ich wartości. Zresztą dyplom jest tylko dowodem z ukończenia pewnego naukowego zakresu i żadnej rękojmi nie daje co do zasad i poglądów jednostki. Szkoła, acz nie lekceważy moralnej strony swych „pupilów" i w ostatniej ćwierci bieżącego stulecia kładzie nacisk na nią, powiada, że ma „charge d'âmes," że nietylko „instruction," lecz i „éducation" uważa za swe zadanie, ale nie szkoła wychowuje wyłącznie. Jest jeszcze dom, życie rodzinne, przykład rodziców, blizkiego otoczenia, których wpływu nie zrównoważy kilkogodzinny pobyt w zakładzie naukowym. Wreszcie zakład elementarny (w tym razie o nim mowa, bo on przeważnie kształci nasze *bony*) niema na to czasu. Nauczycielka, zajmując się kilkudziesięciu dziewczątkami swej klasy, zaledwie może podołać zadaniu fachowemu. Uwaga, przestroga, nagana, rada, pochwała jest kroplą w morzu tych wpływów, jakim dziecko podlega w domu, w otoczeniu rówieśników i wreszcie na ulicy. Dziatwa uboga, ta, która dorosłszy zarobkuje jako robotnice fabryczne, jako sługi (bonne, bonne d'enfants, bonne à tout faire), spędza wszystkie swe wolne chwile na ulicy, u rynsztoku, a kto nie wie, co się tam widzi i słyszy, co się tam dzieje, niech czyta powieści Zoli. W utworach jego będą kiedyś poszukiwać obrazu społeczno-obyczajowego Francyi w drugiej połowie XIX wieku.

A i z tej, tak nizko stojącej warstwy pod względem umysłowym i moralnym, bodaj że tylko gorsze jednostki emigrują na wschód.

Poszukując pewnego razu bony do dziecka blizkiej mi w kraju rodziny, zdziwiony byłem wygórowaną ceną zapłaty, wymaganą przez bardzo elementarnie wykształcone dziewczyny, a rozmawiając o tem z Francuzem, świadomym dobrze spraw swej ojczyzny, dodałem, że w Warszawie o połowę taniej taką bonę dostać można.

On mi na to:

— Dobra sługa, dobra robotnica zawsze znajdzie na miejscu zarobek. Wysiedla się tylko taka, którą jakieś *szczególne* do tego zmuszają okoliczności.

I na te wyrazy: szczególne okoliczności, położył nacisk.

Ażeby rzeczywiście każda, bez wyjątku, opuszczała kraj i rodzinę wskutek owych przyczyn, twierdzić niepodobna; ale że dużo mętów spływa do nas, to rzecz niezawodna. Gdyby można było postawić kwestyonaryusz w tej sprawie, gdyby rodziny, posługujące się zagranicznemi bonami, udzieliły bezstronnych o nich informacyj, otrzymalibyśmy charakterystyczną ilustracyę do kwestyi wychowawczej. Byłaby to swego rodzaju *leçon des choses* dla tej części naszego społeczeństwa, która w teoryi zakreśla piękny program edukacyjno-naukowy, stawi kobietę na piedestale, a w praktyce szuka dla niej przewodniczek w społeczeństwie zdemoralizowanem przez obyczaje, zwyczaje, tradycyę rodzinną i narodową, częstokroć w sferze najniższej, nieposiadającej zasobów ani religijnych, ani filozoficznych, któreby jej odkryły całe piękno wewnętrznej wartości, wskazały wyższe cele życiowe i która—powróciwszy do siebie, do Francyi—wywdzięczy się za to pierwszeństwo dane jej przed naszymi wychowawcami, nazywając nas: „ces sales Polonais."

Margier.

ERNEST ENGEL.

(WSPOMNIENIE POZGONNE).

Każdy, kogo kiedykolwiek nęciły tajemnice statystyki, wie, kim był, jakie zasługi położył świeżo zmarły znakomity uczony niemiecki E. Engel. W ojczyźnie swej uchodził powszechnie i tytułowano go: „der Altmeister der Statistik." Zauważmy: nietylko niemieckiej statystyki był on mistrzem; nie ulega bowiem wątpliwości, że w dziejach tej umiejętności nazwisko jego tuż po Quetelecie mieścić się będzie.

Życie jego pełne było kolców i rozczarowań. Już w 1858 roku opuścić musiał stanowisko naczelnika Biura statystycznego w Dreznie. W Saksonii zorganizował spisy ludności i wprowadził w r. 1852 po raz pierwszy arkusze spisowe według ilości gospodarstw (Haushaltungslisten), przyczem wypełniając je, należało odpowiedzieć na różne pytania. Dziś po latach 40 nie wszyscy jeszcze ludzie inteligentni zdają sobie sprawę z korzyści cyfr statystycznych; wtedy odpowiedziano młodemu 36-letniemu nowatorowi krzykiem oburzenia: „Jakto, więc statystyka będzie badała życie rodziny, może je będzie krytykowała, zdradzała tajemnice!" Kiedy więc rząd wniósł do izby saskiej projekt podwyższenia etatu Biura statystycznego, przedstawiciele „inteligentnych" wyborców odmówili żądania i — Engel podał się do dymisyi. Rozpoczął tedy życie prywatne; dopiero w r. 1860 po śmierci Dietericiego powołano go na urząd dyrektora pruskiego Biura statystycznego, gdzie pracował do r. 1882. Tutaj miał czas i możność urzeczywistnienia największej części pomysłów swoich, jednocześnie zaś doprowadził statystykę pruską do stopnia takiej doskonałości technicznej i naukowej, że stała się ona wzorem, według którego urządzano instytucye podobne w całym świecie ucywilizowanym. Technikę spisów ludności dzięki jego inicyatywie udoskonalono tak znakomicie, że nie cofa się obecnie przed żadnemi dawniej za niewykonalne uważanemi zagadnieniami. Dzięki jego energii dokonano pierwszego spisu zawodowego, wykazu techniki przemysłowej, oświaty kas oszczędności itd.

Engel uważał za swój obowiązek nietylko myśleć o dniu dzisiejszym i o własnych tryumfach, ale i o przyszłości badań. Założył tedy przy Biurze statystycznem seminaryum, z którego wyszli w większej części współcześni profesorowie statystyki i ekonomii politycznej w niemieckich i zagranicznych uniwersytetach. Miał uczniów na całym świecie, gdzie tylko prowadzi się umiejętna statystyka. Przy seminaryum założył bibliotekę statystyczno-ekonomiczną, która każdemu pracownikowi w tych dziedzinach oddała niezliczone usługi. Z suchego zaś, bezbarwnego miesięcznika, wydawanego przez Biuro statystyczne, uczynił zbiór ciekawych i pierwszorzędnej wartości rozpraw ekonomicznych. Należąc zaś do ludzi uważających, że nauki ściśle nietylko stanowić winny monopol specyalistów, ale oświecać ogół, powołał do życia „Korespondencyę Statystyczną," która w krótkiej popularnej formie zaznajamia z rezultatami długich, żmudnych dociekań. Wszystko, co niemieckie pisma codzienne ofiarują czytelnikom swoim z informacyj statystycznych, pochodzi z tego źródła. W taki tylko sposób można zapewnić sobie pewność i prawdziwość tych danych.

Szereg prac naukowych Engla jest długi i pokaźny, lecz nietylko z tytułów, ale i z treści zająć może jedynie specyalistów. Wyjątek pod tym względem stanowi broszura p. t. „Cena pracy," przyswojona w swoim czasie i naszej literaturze.

Niektórzy z czytelników naszych pamiętają być może zatarg Engla z Bismarckiem. Było to w r. 1882, w czasie, kiedy kanclerz zaczął z za stołu prezydyalnego „bronić pracy zawodowej," czyli rozpoczął politykę protekcyonizmu w celu nasycenia głodu agraryuszów i przemysłowców niemieckich. Engel całe życie był wierny ideałom wolnego handlu, więc kiedy wprowadzono do Niemiec cła na zboże, ogłosił krytykę zabójczą polityki celnej, ukrywając się pod pseudonimem „Lorenz." Wiadomo było również w kołach ministeryalnych, że Engel należy do partyi liberałów i że pisuje do ich organów. Pewnego dnia tedy zapytał p. minister Puttkamer: „*Herr Geheimrath*, słyszałem ku wielkiemu żalowi, że pan pisujesz do gazet opozycyjnych?" „Pisuję — odrzekł Engel — cieszyć to jednak pana powinno, że prasa opozycyjna zamieszcza artykuły tak lojalnego człowieka, jak ja." Kilka dni po tej rozmowie Bismarck obrzucił dyrektora Biura statystycznego potokiem oszczerstw z powodu, że on nienawidząc protekcyonizmu, sfałszował dane statystyki. Wiadomo było, kto właściwym był fałszerzem, Engel atoli podał się do dymisyi i przeniósł się w zacisze wiejskie, do Oberloesnitz-Radebeul pod Dreznem, gdzie dokonał dni swoich.

Wiadomo było już od lat wielu światu uczonemu, że stary mistrz opracowywa rezultaty swych długoletnich badań i doświadczeń i że praca ta p. t. „Demos" ma zająć trzy wielkie tomy. Pierwszy miał nosić tytuł: „Wymiar dobrobytu narodowego," inaczej: „Zadania statystyki urzędowej"; drugi: „Wymiar dobrobytu rodzinnego," trzeci: „Wymiar dobrobytu jednostek, czyli wartość człowieka." Studya to prawdopodobnie skończone bądź w całości, bądź też częściowo ukażą się w druku. Nie może też ulegać żadnej wątpliwości, że jeżeli tylko zostały wykończone, będą stanowiły prawdziwą ozdobę literatury statystycznej.

Zen. Por.

Jeszcze jeden sposób

UCZCZENIA SETNEJ ROCZNICY URODZIN

ADAMA MICKIEWICZA.

Pomnik, który ma stanąć w Warszawie, będzie niezaprzeczenie wspaniałym hołdem czci, oddanej pamięci wielkiego twórcy *Pana Tadeusza*, lecz pamięć zmarłych uczcić też należy pamięcią o żyjących, o tych, którzy w istotnem tego słowa znaczeniu byli zawsze najbliżsi serca poety. Mam na myśli rodzinę Mickiewicza, o której przytem święcie pamiętać należy.

Z honorem i godnością nosi ona to wielkie imię, które jej wieszcz jako jedyne zostawił dziedzictwo. Najmłodszy z synów, Józef, który w chwili zgonu ojca miał zaledwie piąty rok życia, jest urzędnikiem w municypalności paryskiej. Ciężka choroba, którą przebył szczęśliwie, nie dozwoliła jednak na rozwinięcie

jego wielkich zdolności umysłowych i zmusiła do zajmowania tego skromnego stanowiska. Najstarszy zaś, Władysław, jest pisarzem znanym zaszczytnie w polskiej i francuskiej literaturze. Cały żywot swój poświęcił wydawnictwu piśmienniczej po ojcu puścizny, a dzieła tego dokonywał z troskliwością i starannością najwyższą, z pietyzmem godnym tej sprawy.

Cały szereg różnych pism wieszcza i o wieszczu wydobył na jaw i ogłosił; napisał najobszerniejszy, najskrzętniej opracowany żywot poety; tłomaczył na język francuski jego poematy i prozę; pisał dzieła dla oznajomienia obcych z naszą chlubą narodową, a wszystko to czynił cicho, skromnie, nigdy nie szukając rozgłosu, a znajdując tylko w nagrodę — stratę pieniężną. Jego literacka i wydawnicza działalność nie jest ogółowi naszemu znaną, ani należycie ocenioną.

Gdy więc społeczeństwo polskie czcić będzie ojca w niezliczonym zapewne szeregu artykułów, wydawnictw, ofiar i czynów obywatelskich, niechaj nie zapomina też o zasługach i o długu względem syna...

W zawodzie literackim rzadko stąpa się po różach, spotyka się często ciernie do krwi kaleczące, a na uwieńczenie żywota zdobywa się nędzę i zniedołężnienie. Chwila zatem stosowna, ażeby pomyśleć o *dotacyi publicznej dla rodziny Mickiewicza*, którą możnaby uzyskać bądź z ofiar prywatnych, bądź z jubileuszowych wydawnictw dzieł poety. Jakkolwiek dzieła te przeszły już na własność publiczną, sądzimy jednak, że ani ogół, ani jednostki z prawa tego *bezpłatnie* w roku jubileuszowym korzystać nie powinny i zrzekną się go na rzecz rodziny. Taka pomoc publiczna nie ubliżyłaby w niczem godności tych, którzy jej potrzebują lub w przyszłości potrzebować będą, jest ona bowiem wyrazem najwyższej czci, okazanej przez ogół poecie. Niejednokrotnie u narodów oświeconych spotykamy tego przykłady — parlamenty uchwalają uposażenia publiczne dla mężów zasłużonych w kraju, lub dla ich rodzin.

Podnosimy ten projekt w nadziei, że go ludzie dobrej woli do serca wezmą i poczynią starania, ażeby ze wskazanych przez nas źródeł rodzina uzyskać mogła jaknajobfitszy zasiłek.

Gdy jeden z największych poetów świata, umierając nagle w Konstantynopolu, pozostawił sześcioro sierot na łaskę losu i ludzi, wówczas wskutek starań ich opiekuna, Ludwika Wołowskiego, Cesarz Aleksander II w d. 11 (23) sierpnia 1857 r. dozwolił na rozpowszechnienie w Cesarstwie i Królestwie Polskiem dzieł Adama Mickiewicza i zapewnił rodzinie prawo własności literackiej, które już dziś ustało... Ze składki publicznej zebrano wtedy dla sierot 100,000 franków.

Anachronizmem byłby dziś okrzyk: „Hańba ludom, co swoje mordują proroki,“ lecz grzechem byłoby, gdybyśmy dziś zapomnieć mieli o tych, którzy byli najbliższymi poecie, krwią jego krwi i kością jego kości — i gdyby on ze szczytu wspaniałego pomnika spoglądał na biedne i opuszczone dzieci swoje...

Leopold Méyet.

FEJLETON.

PAMIĘTNIK.

Komunały.

Osądzona została w zeszłym tygodniu przez sąd okręgowy sprawa dwu nieletnich morderców: Kleinjuda i Szczypińskiego, którzy zamordowali znajomego kantorowicza Fejgelesa i ograbiwszy go, wywieźli w kufrze trupa do Łodzi, skąd go dla zatracenia śladu zbrodni wysłali jako towar do Odesy. Ze śledztwa przytem okazało się, że zwłaszcza jeden z nich oddawna układał rozmaite plany zdobycia pieniędzy podobną drogą, miał nawet w notatniku spisane nazwiska ofiar, które zgładzić zamierzał. Występujący jako obrońca z urzędu adwokat S. Leszczyński, wskazując pobudki przestępstwa, położył szczególny nacisk na rozpowszechnione w naszem społeczeństwie pragnienie życia nad stan. Jest to komunał, który często powtarzamy, który jednakże tak niewątpliwą zawiera w sobie prawdę, jak komunały tabliczki mnożenia. Rzeczywiście w ogromnej ilości występków, ujawnionych w sądach tutejszych, daje się dostrzegać ta pobudka, ta żądza użycia i zbytku, która prowadzi na rozdroża i do kryminału lub ciężkich robót. Społeczeństwo biedne usiłuje koniecznie w swych uciechach dorównać bogatym i nietylko nie usuwa od siebie pokus, ale je mnoży. Ciągłe zabawy, hulanki, przybytki rozpusty i marnotrawstwa, gry hazardowne w domach prywatnych i zakładach publicznych, między którymi panuje rozkiełznany z wszelkich wędzideł totalizator, potrzeba błyszczenia, wielkopańskie zachcianki i kaprysy, wszystko to wplata się w nasze życie gęstemi nićmi zepsucia. Subjekt kantorowy lub sklepowy, który urodził się na poddaszu lub w suterenie, a niedawno dzieckiem ubogich rodziców być przestał, zarabiając miesięcznie 10—15 rs., *potrzebuje* modnego ubrania, stosunków z półświatkiem, jazdy eleganckiemi dorożkami, gry na wyścigach itd. On *nie może* żyć jak skromny młodzieniec, lecz *musi* hulać, brukać się, rozpustować, tracić pieniądze, a ponieważ ich nie posiada, więc również *musi* kraść, oszukiwać lub mordować. My oddawna powtarzamy ten wytarty komunał, w który życie wkłada ciągle świeżą a smutną treść, że społeczeństwo nasze *musi* obniżyć skalę swych rozrywek, jeśli nie chce zapadać w coraz głębsze ubóstwo, pozbawiać się środków na potrzeby ważne i niezbędne, zatruwać swej atmosfery moralnej miazmatami i rodzić zbrodniarzów.

Podczas rozpraw sądowych w tym procesie padł inny komunał: obrońca Kleinjuda, niejaki p. L., oświadczył, że instynkty krwiożercze są obce rasie jego klienta, a natomiast właściwe innej—i tu podobno wskazał na aryo-polaka Szczypińskiego, za co otrzymał natychmiast ostrą naganę od adwokata Leszczyńskiego, a nazajutrz jeszcze surowsze napomnienie w kilku dziennikach. Rzeczywiście trzeba być niewybrednym w środkach obrony i wysoce naiwnym, ażeby mordercę, który przyznał się do zbrodni, usprawiedliwiać tem, że ów morderca należy do rasy, która nie lubi krwi przelewać. Jest to jakiś ogon argumentu, który przecie niema ogona. Ale pomijając ten *lapsus* i jego twórcę, jak się ta kwestya przedstawia z poważnej strony? Ponieważ twierdzenie o wstręcie Żydów do mordu jest często powtarzanym komunałem, więc należy znać jego istotną wartość. Jeżeli się mówi o jakiejś właściwości *rasy*, to należy ową cechę znamienną badać w przeszłości i w teraźniejszości. Otóż o ile Biblia jest źródłem historycznem, przyznać trzeba, że Żydzi należeli do najbardziej okrwawionych ludów. Ich świątynie były szlachtuzami, w których ciągle zarzynano na ofiarę zwierzęta „przed obliczem Pańskiem,“ a ich ołtarze były stale skrapiane krwią. Karząc bałwochwalstwo, Mojżesz rozkazuje: „Przypasz każdy miecz swój do biodry swojej; przechodźcie, a wracajcie się od bramy w obozie, a zabijajcie każdy brata swego, i każdy przyjaciela swego, i każdy bliźniego swego“ (Moj. II, 32). Wybijanie wszystkiego „od ludzi aż do bydlęcia“ w miastach zdobytych, rzezie bezlitośne i bezcelowe, karanie śmiercią nietylko ludzi, ale i zwierząt za drobne występki — te obrazy przesuwają się ciągle na kartach Starego Testamentu. Jak skwapliwie starzy Izraelici gospodarowali mieczem, przekonywa opowieść o ich wojnie z Beniamińczykami (Sędz, 21), po której wymordowali bez żadnego powodu „każdego mężczyznę i każdą niewiastę, która męża uznała“ z Jabes Galand, ażeby pokonanym dostarczyć żon.

Inaczej wszakże sprawa ta przedstawia się w stosunkach obecnych. Wszędzie bowiem statystyka wykazuje słaby udział Żydów w morderstwach, a znaczny w przestępstwach innego rodzaju. Co to znaczy? Znaczy, że pod wpływem odmiennych warunków społecznych i kulturalnych instynkty ich uległy zmianie. Że tak jest, świadczą inne dowody. Lichwa np. była jednem z najbardziej zakazanych wykroczeń w prawie Mojżeszowem. Czytamy tam: „Pieniędzy twoich nie dawaj mu na lichwę, ani z zysku pożyczaj żywności twojej... Jeżeli w zastawie weźmiesz szatę bliźniego twego, przed zachodem słońca wrócisz mu ją.“ (Moj. III, 25, II, 22). A dziś lichwa jest głównem zajęciem wielu Żydów.

Słowem, o wstręcie Żydów do morderstwa jako o właściwości *rasy* mogą tylko prawić ciemni deklamatorzy, natomiast ich słaby udział w zabójstwach obecnie jest faktem.

A może ów niefortunny obrońca, mówiąc o braku *krwiożerczych* instynktów w tej rasie, miał na myśli to, że Żydom krwi jeść nie wolno? W takim razie rzekł prawdę, bo Mojżesz im rzeczywiście tego przysmaku zakazał i oni dotąd go nie używają.

Prośba do słońca.

Dopóki pierwsze przykazanie Dekalogu nie jest jeszcze uzupełnione zakazem „mienia innych bogów,“ prócz p. H. Sienkiewicza, niech nam wolno będzie wypowiadać o nim od czasu do czasu skromne uwagi krytyczne. Zwyczajem premierów angielskich, którzy w mowach lub listach do lorda-majora Londynu wyrażają swe zdania w ważnych sprawach politycznych, wystosował on do p. L. Wrotnowskiego ogłoszony naturalnie przez gazety list w kwestyi jubileuszu swego i Mickiewicza. „Jeżeli będzie *mi* dano — pisze — doprowadzić tę sprawę do szczęśliwego końca, będzie to zarazem najwyższą nagrodą mojej 25-letniej pracy na niwie literatury polskiej. Tymczasem nie chciałbym, by wasza energia, wasza gorliwość i zaradność *rozpraszały się w rozmaitych kierunkach* i dlatego proszę najusilniej o zaniechanie aż do ukończenia sprawy pomnika wszelkich zabiegów, mających na celu moją osobę.“ Chociaż p. H. Sienkiewicz, który według swych apologetów połączył w sobie geniusze Homera, Dantego, Shakespeare'a itd., ma zupełne prawo przemawiać językiem bogów, my jednak nie możemy pogodzić się z jego wspaniałomyślną łaską dla Mickiewicza. Mniejsza o to, jak ów list szan. viceprezesa smakował jego towarzyszom w komitecie, którzy również powinni mieć pretensyę uczestnictwa w doprowadzeniu sprawy pomnika „do szczęśliwego końca“; ale nam chodzi o naród, który przez żadne „mi“ zastąpionym być nie może i który jedynie wystawi pomnik swojemu wielkiemu poecie. On dostarczy pieniędzy, on wskaże przez swą opinię najwłaściwszy sposób zużytkowania ich i dogodzenia swym dawnym a najserdeczniejszym życzeniom. Zresztą że p. S. jako szafarz tych pieniędzy i jako kierownik tego przedsięwzięcia nie daje nam wyjątkowej rękojmi powodzenia, a że nie obejdzie się bez pomocy i poparcia ludzi energiczniejszych, dowiódł swym udziałem w komite-

cie krakowskim, który także otwierał mu pole „doprowadzenia sprawy do szczęśliwego końca,“ a który wiadomo, w jakie błoto wjechał. Nie myślimy zmniejszać ani wielkiego talentu, ani rzeczywistych zasług autora *Bez dogmatu*; przyznajemy nawet, że jest on odpowiednim przewodnikiem komitetu, ale nie przypuszczamy, ażeby jakikolwiek patronat mógł mieć wpływ na uczucia i ofiary ogółu w sprawie pomnika dla twórcy *Pana Tadeusza*. Nie może on ani powiększyć, ani zmniejszyć tych uczuć i ofiar, bo co naród da i zrobi, to da i zrobi dla samego Mickiewicza. Ktoby chciał żyrować sławę naszego ukochanego i z nikim niedającego się porównać wieszcza, ten byłby poprostu śmiesznym. Niepotrzebnie też p. Sienkiewicz obawiał się obchodem swego jubileuszu „rozproszenia energii, zabiegliwości i zaradności w rozmaitych kierunkach“ i odciągnięcia uwagi ogółu w swoją stronę ze szkodą Mickiewicza. O tem bowiem, co społeczeństwo winno Mickiewiczowi, nie mogło zapomnieć dla Sienkiewicza i raczej drugi mógłby stracić na współczesności obchodów, niż pierwszy. W tym wypadku właściwszą ozdobą dla p. S. była skromność, niż wspaniałomyślna grzeczność. Możemy na ołtarzu jego sławy poświęcić Homera, Dantego, Shakespeare'a i innych geniuszów świata — niech tam o ich prawa upominają się interesowani, gotowi jesteśmy utonąć w jego wielkości wszyscy my maluczcy, tylko błagamy go, niech nam zostawi niezaćmioną swym blaskiem jedną gwiazdę naszej literatury — Mickiewicza. Tej gwieździe zawdzięczamy znaczną część życia duchowego i najwznioślejszych uczuć wielu pokoleń, ona przyświecać nam będzie jeszcze bardzo długo, a czem się stanie za lat 50 dzisiejsze słońce — kto to wie!

Martwe miasto.

Według *Kuryera Codz.* 14,700 drzew padło pod siekierą w ostatnich pięciu latach w Warszawie, ustępując miejsca domom. Naturalnie ściętych nie zastąpiły inne i miasto, skąpo zadrzewione, zubożyło się jeszcze bardziej pod względem roślinności. Już dziś jest ono prawie martwe: jak w rzymskich grodach mury stoją obok murów, tworząc ulice wązkie, podwórza ciasne, przestrzenie zaduszone, duszne, zatęchłe. Pogoń za placami jest tak wytężona, ceny tak wysokie, że nic się nie ostoi przed chęcią zysku. A ponieważ ludność nie ma zamiłowania do zieleni i kwiatów w mieszkaniach, więc Warszawa staje się miastem skalistem, okropnem. Dokąd ona jeszcze dojdzie w tej dążności do gromadzenia gołych murów, trudno przewidzieć, jeśli jej rozwoju budowlanego nie ujmie jakaś silna i dbała ręka. Dziś pod tym względem jest ona prawie pozbawiona kontroli i steru, każdy wznosi to i tak, co i jak mu się podoba, jedynie pamiętając o zarobku, a zapominając o zdrowiu i estetyce. Gdybyśmy, jak Paryż, doczekali się Hausmana, byłoby zapewne inaczej. Bez takiej siły i takiego rozumu zbudujemy miasto cyklopów, licząc na to, że nas nie nawiedzi trzęsienie ziemi, które jednem słabem drgnieniem zwaliłoby te kruche kupy cegieł.

Kominy i płuca.

Przed paru laty pisma obwieściły, że „niebawem“ będzie wprowadzony bardzo ważny przepis dla zdrowia miasta. Oto wszystkie fabryki i piekarnie w pobliżu mieszkań miały obowiązkowo wznieść wysokie kominy, przerastające najwyższe domy. Projekt poszedł w zapomnienie i dziś nietylko o nim nikt nie myśli, ale przeciwnie — właściciele piekarń obierają sobie domy jednopiętrowe na ulicach wązkich i ciasnych. Mnoży się takich zakładów coraz więcej, a mieszkańcy domów poblizkich muszą trzymać okna zamknięte w godzinach kiedy bywa najświeższe powietrze. Pomimo to przez szczeliny w oknach wciska się dym gryzący. Szkodliwość jego dla płuc medycyna już dawno stwierdziła. Pomyślmy, ile na takiem sąsiedztwie cierpią mieszkańcy, głównie dzieci i ludzie osłabieni, dla których pierwszorzędnym warunkiem podtrzymania zdrowia jest świeże powietrze. W mieście mamy go niewiele, ale na piętrach najwyższych jest ono względnie najczystsze; tymczasem i z tych skąpych przemycanych do miasta darów przyrody dym fabryczny nie pozwala korzystać. Opiekunowie zdrowia publicznego powinni zwrócić na to baczną uwagę i wyjednać przepis, nakazujący wznoszenie wysokich kominów, albo też wogóle skasowanie takich fabryk i zakładów w śródku miasta śród ulic ciasnych, zabudowanych dużemi kamienicami. Biorąc tę kwestyę nawet ze stanowiska ekonomicznego, łatwo ocenić, że więcej społeczeństwo ucierpi materyalnie na stracie zdrowia mnóstwa ludzi produkcyjnych, niż na przeniesieniu zakładów fabrycznych po za miasto lub na wybudowaniu kominów wysokich, których koszt obarczy zaledwie garstkę przedsiębiorców.

Szkoły na wsi.

Dyrektor szkoły handlowej w Warszawie, p. Rontaler, według zapewnienia *Kuryera Warsz.*, postanowił założyć filię na wsi, w miejscowości lesistej, zasobnej w wodę bieżącą, położonej przy szosie i w pobliżu stacyi kolei. Szkoła przyjmie 500 uczniów, którzy mieszkać będą w internacie; koszt zaś utrzymania wraz z opłatą nauki wyniesie 400 rs. rocznie (100 wpisu, 300 za pensyonat). Przy zakładzie będzie urządzony szpital ze stałym lekarzem. Uczniowie w internacie, stosownie do wieku, mają być podzieleni na grupy, każda pod opieką osobnych wychowawców. Dla nauczycieli będą zbudowane specyalne domki z ogródkami. Pomysł ten ma doniosłe znaczenie społeczne i jest zarazem znamieniem chwili. Obok ciążenia ludności do miast, trawiących zdrowie duchowe i fizyczne, widzimy w coraz liczniejszych przykładach zwrot ku wsi. W zakresie wychowawczym jest on niezmiernie pożądanym. Z zakładów wyższych, istniejących obecnie w takich warunkach, znamy jeden tylko: akademię Piotrowsko - Razumowską za Moskwą. Zwiedzając to ustronie, zazdrościliśmy młodzieży warunków pracy umysłowej. Gmach przeznaczony na aule, bibliotekę, gabinety itd., przypiera do parku dużego; osobny budynek, urządzony z komfortem, mieści internat wraz z czytelnią. Dokoła leżą pola rozległe i drzewa szumią; cisza niezamącona, usposabia do pracy skupionej, intensywnej, wyborne zaś warunki hygieniczne trzymają w sile nerwy i ogólny stan zdrowia młodzieży. W pobliżu miasto duże, posiadające księgarnie, czytelnie, pracownie naukowe, galerye obrazów itd., zaspokoić może w każdej chwili potrzeby duchowe młodzieży inteligentnej. Dziś coraz więcej szkół agronomicznych, średnich i niższych, powstaje na wsi. Obecnie z zabiegów p. Rontalera widzimy dążność do otwierania na wsi także innej kategoryi zakładów naukowych. Objaw to wielce pożądany wobec tego, iż młodzież odznacza się coraz mniejszą odpornością fizyczną i dzielnością duchową.

Kolonie letnie

Wyszło sprawozdanie z działalności tej instytucyi za r. 1896, które raz jeszcze złożyło przed społeczeństwem naszem świadectwo jej zacnych i owocnych dążeń ku uzdrowieniu biednych dzieci warszawskich. Jest to jedno z niewielu naszych przedsięwzięć, które pomimo że nie rozporządza żadnym kapitałem „żelaznym,“ nietylko że nie cofa się, ale chyżo postępuje naprzód, umożebniając „odrodzenie“ coraz większej ilości dzieci. Porównywając rezultaty działalności naszych kolonij letnich z tymi, jakie zdobyły dłużej od naszych istniejące zagraniczno, a przedewszystkiem szwajcarskie, nie spostrzegamy wcale różnic znacznych. Świadczy to więc nietylko o dobrem i współczującem sercu ludzi, zajmujących się tą sprawą, ale i wybitnej dozie umiejętności fachowej, celowej.

W roku sprawozdawczym istniało 13 kolonij, a dzieci biednych wyrobników warszawskich korzystało z dobrodziejstw zdrowej, posilnej strawy, czystego łóżeczka, świeżego powietrza i umiejętnej opieki 1,961. Kolonij utrzymywanych kosztem prywatnym było 3 (w Sannikach przez Natansonów, w Ciechocinku przez Wawelberga, w Lesznie przez Bersohnów); dziesięć zaś utrzymywano kosztem ogółu. Przychód wyraża cyfra 28 tys. rubli, a że ogólny rozchód wynosił 19 tys., więc na rok bieżący pozostało około 8 tys. rubli. Sprawozdanie zamyka pierwszą epokę w dziejach kolonij letnich. Zarząd mianowicie ułożył ustawę stałą, która obeszła już różne instytucye i przed kilku tygodniami zatwierdzoną została przez ministeryum spraw wewnętrznych. Fakt ten z całego sprawozdania jest najważniejszy, pozwala on bowiem snuć długą nić nadziei i marzeń co do dalszego rozwoju instytucyi. Podstawy bowiem działalności są już dzisiaj utrwalone. Koryto prądu filantropijnego tem samem zostało uregulowane, a traci on bezsprzecznie charakter dowolności i zygzaków niespodzianych. Trwałe te ramy otwierają przed zarządem daleki widnokrąg rozszerzania coraz bardziej swej działalności i dobrodziejstw zdrowia i kultury śród coraz szerszych mas nędzy warszawskiej. Oczywiście że życzymy mu powodzenia na tej drodze, a społeczeństwo—nie odmówi mu pomocy materyalnej.

BADANIA NAUKOWE.

CZŁOWIEK I PRZYRODA.

II.

Sprowadzając pierwiastki naszych pojęć o wszechświecie do tego, co daje nam doświadczenie bezpośrednie, otrzymamy w analizie ostatecznej poruszające się masy. P. J. J. Boguski dziwi się, iż poprzestaję na ruchu i nie wyrażam go za pośrednictwem czasu i przestrzeni. Pochodzi to stąd, że bliższy rozbiór sposobów określania ruchu był obojętny dla moich celów. Gdybym zamierzał wyprowadzać wzory pewnego szczególnego ruchu, naturalnie nie mógłbym zrobić tego inaczej, tylko posługując się współrzędnemi czasu i przestrzeni. Atoli mnie nie chodziło wcale ani o to, w jaki sposób podmiotowo ujmuję dane zjawisko, ani też o badanie pewnego określonego przypadku. Zależało mi tylko na wyszukaniu tego, co jest bezpośrednio dane przez doświadczenie, nie zaś jak owo coś wypada mi formułować i wyrażać.

Znamy więc poruszające się masy. Wychodząc z tego faktu, budujemy odpowiedni schemat mechanizmu przyrody. Ruch, od jednego punktu (ważkiego lub nieważkiego) udziela się drugiemu, od tego trzeciemu itd., rozszerza się coraz dalej i miejscami stwarza mniej lub więcej stałe odkształcenia, czyli deformacye (tj. sta-

wia punkty lub systemy punktów w pewnem szczególnem położeniu, uniemożliwiającem te ruchy, jakie posiadałyby one, gdyby nie było przeszkody). Zjawiska to, odbywające się w świecie zewnętrznym, podmiot nasz ujmuje niejednakowo: już jako ruch mechaniczny, to znowu jako ciepło, światło, dźwięk itd. Nauka jeszcze nie zdołała sprowadzić wszystkich procesów przyrody na to źródło zasadnicze, i jej postęp polega właśnie na dokonywaniu takiej analizy (przyczem co do zjawisk duchowych, winniśmy przyjąć, iż są one współrzędne z pewnym ruchem, ale nie identyczne — jak twierdził materyalizm). Cała teorya mechanicznego pojmowania przyrody — tj. pewnego schematu, o ile słusznego rzecz obojętna, lecz w dniu dzisiejszym streszczającego kierunek, właściwy filozofii naukowej — wychodzi z takiego przedstawienia przyrody, jako sumy poruszających się punktów. Laplace, wypowiadając sławną w historyi filozofii nowoczesnej myśl, iż gdyby zdołał ułożyć szereg równań różniczkowych, przedstawiających, w obrębie całego wszechświata, ruch każdego punktu w pewnej chwili, oraz zależności przestrzenne punktów nawzajem, naówczas, nadając czasowi pewną wartość określoną, mógłby przepowiedzieć stany przyszłe i odkryć przeszłe. Z takiego pojmowania wypływa dalszy wniosek, mianowicie, iż przyroda nosi w sobie zarodek zastoju, lub jeśli użyjemy terminu Taita, iż entropia wszechświata dąży do zera. Prędzej lub później, ruch zostanie jednostajnie rozmieszczony w całym kosmosie i nie będzie się udzielał dalej, istniejące deformacye zamienią się na inne, nierozwiązalne, „materya" zbije się w jedną masę, mającą stałą temperaturę. Ale nawet w tych wywodach wykraczamy już po za szranki dozwolone i wstępujemy w dziedzinę tak zwanych przyczyn ostatecznych, których rozwiązać nie jesteśmy w stanie. Działamy tam, posługując się pojęciem nieskończoności, tj. czemś takiem, czego nie opanowaliśmy doświadczeniem. Jeżeli bowiem wszechświat istnieje nieskończony przeciąg czasu, dlaczego to wszystko już nie nastało, tj. dlaczego entropia nie stanęła na poziomie zera? Czemkolwiek jednak są powyżej przytoczone poglądy i schematy, charakteryzują one przewybornie tendencyę filozofii naukowej, wychodzącej z tego, co daje nam doświadczenie, oparte na faktach charakteru skończonego. W otrzymane z doświadczenia uogólnienia, zamiast skończoności, podstawiliśmy pojęcia, niedozwolone przez doświadczenie, bo nieskończoność.

Ruch, będący podstawą naszej znajomości świata, badamy w jego właściwościach — atrybutach. Doświadczenie daje nam prędkość, którą mierzymy liczbą jednostek przestrzeni, przebytych w jednostce czasu, i która daje nam pojęcie o ruchu, rozpatrywanym tylko w danej chwili, bez żadnego stosunku do zmian, jakie w nim nastają z jednej jednostki czasu na drugą. Rozszerzając badanie nasze i na tą stronę, otrzymamy nową wielkość, tak zwane przyśpieszenie, tj. przyrost prędkości z jednego pierwiastku czasu na drugi.

Z tych wielkości zasadniczych rozwijamy inne. Na razie obchodzą nas funkcye, noszące miano siły i energii.

Napięcie przyczyny, wywołującej ruch pewien (względnie przeciwdziałającej mu), mierzymy skutkami, przezeń dokonanymi w ciągu jednostki czasu, a więc przyśpieszeniem, jakie ona nadaje poruszającej się masie (iloczynem z masy na przyśpieszenie). Funkcyą tą nazywamy siłę. Podobnego rodzaju wyrażeniem, tj. funkcyą matematyczną, jest energia, co do miary swojej identyczna z tak zwaną pracą, obie wyrażają się bowiem jako iloczyn z masy przez kwadrat prędkości (na stały współczynnik ½, występujący przy energii, nie zwracamy w danym razie uwagi). Znajomość tej funkcyi, energii kinetycznej, czyli żywej, daje nam możność obliczenia skutków, wywartych przez pewne ciało poruszające się. W związku zaś z inną funkcyą, tak zwaną energią potencyonalną, zależną od współrzędnych położenia pewnego punktu w systemie odkształconym, dostarcza ona nam wielkiej zasady, właściwej układom zamkniętym, a wyrażającej się za pomocą wzoru:

$$\frac{1}{2}\Sigma m_i v_i^2 + \varphi = \text{stała wielkość *)}.$$

Formuła ta matematyczna daje nam zależność wzajemną między punktami pewnego układu: poruszającymi się swobodnie oraz związanymi. Oznacza ona, że pewna suma wielkości, charakteryzujących ruch punktów, oraz innych, zależnych od położenia pozostałych punktów, jest dla pewnego układu ilością stałą. To jest, ilekroć nastanie w danym układzie pewne odkształcenie, dla dokonania którego trzeba zużyć pewien ruch, naówczas pierwszy wyraz, tj. tak zwana energia żywa, zmniejsza się w przytoczonym wzorze, drugi zaś powiększa się. I naodwrot, jeśli pewne punkty, których odległość uległa odkształceniu, wracają do stanu pierwotnego, pewne ogniwa $\Sigma m_i v_i^2$ ulegają zwiększeniu, lecz suma, stanowiąca pierwszą część równania, nie zmienia swojej stałej wartości.

Stałość tę sumy pewnych funkcyj dla całego układu nazywamy zasadą zachowania energii. Wypływa ona z pewnej przeróbki formalnej, dokonanej w równaniach ruchu Lagrange'a i nie powiada nam nic nad to, że istnieje pewna zależność matematyczna: wielkości zmienne, z których składa się pewna suma, ulegają przekształceniu, ale suma znaczeń dla punktów układu zamkniętego pozostaje niezmienną. Prawo zachowania energii jest więc dla mnie tylko ujęciem pewnych zasad ruchu, wolnego i związanego tak zwaną zależnością potencyalną (wyrażającą się mianowicie w tem, iż jest funkcyą współrzędnych położenia) — w zakresie warunków, odpowiadających określeniu układu zamkniętego. O ile pojęcie wszechświata, jako nieskończoności trójwymiarowej, odpowiada lub nie odpowiada temu założeniu, nie chcę się wdawać w to zapytanie, wkraczające w sferę zagadnień transcendentalnych. Zaznaczę tylko, że w takiem zastosowaniu zasada zachowania energii jest dla mnie nie uogólnieniem, popartem przez doświadczenie, ale raczej wymaganiem umysłu, tak samo jak „niezniszczalność materyi." Nie mam bowiem żadnego powodu mniemać, ażeby było inaczej.

Poddaliśmy analizie funkcye, charakteryzujące ruch a zwane siłą i energią. Zaprzeczać pożyteczności ich stosowania lub użycia nigdyśmy nie mieli zamiaru. Chodziło nam tylko o to, ażeby nie przypisywać im znaczenia, jakiego nie posiadają i nie odziewać je w szaty metafizyki. Tutaj jeszcze dodamy, że „siła" i „energia" w ostatecznym wyniku rozbioru bywają wyeliminowane, jako wyrażenia, wprawdzie dogodne w pewnych warunkach (np. „siła" przy przejściu od dynamiki do statyki za pośrednictwem zasady d'Alemberta), ale bądź co bądź zbyteczne w otrzymanym końcowym rezultacie. Biorąc wzory ruchu planet lub wahadła, wszędzie w ostatecznej formule „siła" znika, pozostają zaś masy, czas, współrzędne przestrzeni.

Ale nie wszyscy zadawalają się zrozumieniem matematycznego charakteru siły i energii. Owszem starają się odnaleźć w świecie zewnętrznym odpowiadające im realności.

Pojęcia siły używano i nadużywano czy to w fizyce, czy też w filozofii przyrody. Spostrzegając ruch we wszechświecie, spadek np. ciał na powierzchnię ziemi, obrót naszego globu dokoła słońca itd., staramy się uzmysłowić przyczyny według wzorów, zaczerpniętych z doświadczenia wewnętrznego: przenosimy nasze stany duchowe w otaczający nas wszechświat i rozdzielamy znajdujące się tam agregaty ważkie czemś, pokrewnem wysiłkowi naszych mięśni lub uczuciom pociągu. Powstaje pojęcie „siły." Büchner, przeciwstawiając tę kategoryę „materyi," stał właśnie na gruncie takiego prostaczego pojmowania. Siła była tam czemś szczególnem, ożywiającem materyę, wywołującem ruch, rządzącem zjawiskami itd. Siły ciążenia, powinowactwa chemicznego itd. były czczymi wyrazami, których obecność w nauce nic nie wyjaśniała, lecz nawet szkodziła, bo zamiast treści podsuwała etykiety. Możemy porównywać ciężary ciał lub prawa spadku — mamy tam do czynienia z faktami, bezpośrednio danymi przez doświadczenie. Wprowadzenie terminu siły ciężkości nic nie wyjaśnia, co najwyżej jest źródłem gry wyrazów i zamiany nauki o świecie na logomachię.

„Siła," tak nadużywana, zbankrutowała. Natomiast wprowadzono nowe bóstwo, „energię." Ożywiono i zantropomorfizowano pewną funkcyę, charakteryzującą ruch. Dla nas energia jest tylko nazwą, właściwą pewnej określonej wielkości — nic nadto. Atoli nadają jej aż nazbyt często znaczenie zgoła odmienne. Przed niejakim czasem dużo hałasu narobiła w Niemczech mowa W. Ostwalda, prof. chemii w uniwersytecie lipskim, poświęcona krytyce materyalizmu naukowego. Chemik ów usiłuje wykazać zupełną nienaukowość pojęcia „materya" i konieczność wyrugowania go z nauki, natomiast pragnąłby zrobić „energię" podłożem zjawisk przyrody.

„W istocie wszystko — pisze on — co zdołano dotąd przedstawić zapomocą pojęć materyi i siły, a nawet wiele więcej jeszcze, da się wyłożyć zapomocą pojęcia energii. Chodzi tylko o przeniesienie na to ostatnie własności i praw, przypisywanych pierwszym... Nie robiąc co do związku pomiędzy różnemi postaciami energii żadnych przypuszczeń, jak te, które są zawarte w prawie zachowania, osiągamy wolność objektywnego badania własności różnych rodzajów energii; racyonalne rozważanie i uporządkowanie tych własności pozwala nam zbudować system rodzajów energii, który nam dokładnie daje poznać podobieństwa i różnice pomiędzy nimi i dlatego prowadzi nas znacznie dalej, niż zatarcie tych różnic przez hypotetyczne przypuszczenie ich wewnętrznej tożsamości. . Jeżeli więc rzeczywiście prawa zjawisk przyrody dają się sprowadzić do praw odnośnych rodzajów energii, to jaką stąd mamy korzyść? Tę bardzo znaczną, że staje się przez to możliwą wiedza przyrodnicza, wolna od hypotez. Niema już mowy o siłach, niepodobnych do wykazania, pomiędzy atomami, których obserwować nie możemy. Ale chcąc osądzić pewną sprawę, pytamy się tylko o rodzaj i ilość wchodzącej i wychodzącej energii. Energetyka jest drogą, na której spełnić się może żądanie Kirchhoffa, aby tak zwane tłomaczenie przyrody zastąpione było przez opis zjawisk" *).

Nic zgoła nie mamy przeciw wyrzuceniu atomów z siłami z nauki i zrozumieniu właściwego charakteru tej teoryi, mianowicie schematu, podsuniętego przez nas, atoli nie sądzimy, ażeby warto było usuwać jedne pojęcia tylko po to, ażeby wprowadzać inne, tak samo nie uprawnio-

*) Funkcya $\varphi = -\Sigma (X_i dx_i + Y_i dy_i + Z_i dz_i)$, gdzie X_i, Y_i, Z_i, rzuty siły działającej na punkt i, x_i, y_i, z_i zaś współrzędne tego punktu.

*) Z świeżo wydanego przekładu polskiego: W. Ostwald *Krytyka materyalizmu naukowego*. Warszawa.

ne. Niewątpliwie, wolę fizykę, opartą na „energiach,“ aniżeli na „siłach,“ ale przekładam nad obie jeszcze inną, obywającą się bez jednych i drugich. Tymczasem Ostwald, wyrzuciwszy starych bogów, gotów zaludnić kosmos nowemi: promienistemi i niepromienistemi energiami, przechodzącemi wzajemnie jedna w drugą. Symbole matematyczne i funkcye, jakiemi są energia i siła, stają się tam formami bytu pewnej realności. Powstają wyrażenia: energia świetlna, chemiczna, biologiczna, nawet społeczna — cały Panteon kategoryj metafizycznych. Pisząc o książce Z. Heryngа, podaliśmy tam całą wiązankę przykładów, uwydatniających takie nadużywanie nazwy, i wykazaliśmy, jak takie postępowanie doprowadza do prostej gry wyrazów. Uznając zasadę zachowania energii, jako pewne równanie, charakteryzujące stosunki punktów związanych i poruszających się układu zamkniętego, nie widzimy najmniejszego pożytku pojmować ją tak, jak to robi Ostwald i inni, używać zwrotów o przelewaniu jej z mięśni do podnoszonego kamienia, o przechodzeniu z jednej formy w drugą. Ktoś powie, iż są to tylko zwroty i sposoby wyrażania się. Niestety, pod niewłaściwymi zwrotami ukrywa się zawsze coś więcej — niewłaściwe pojmowanie.

L. Krzywicki.

JESZCZE O ORGANIZMIE SPOŁECZNYM.

IV.

Jakie jednak znaczenie może teorya organistyczna w tej formie mieć dla socyologii? W przedmowie do książki Lilienfelda, stanowiącej jakby dalszy ciąg jego własnej *), Worms powiada, że teorya ta w swej istocie da się sprowadzić do następujących kilku zdań: „Komórki, łącząc się, tworzą organizmy; organizmy tworzą społeczeństwa. Społeczeństwa tak się więc mają do organizmów, jak organizmy do komórek. Według prawa powszechnego, całość złożona przypomina w swej budowie, czynnościach i rozwoju proste elementy, z których się składa.“ Lecz jeśli społeczeństwo jest nieskończenie bardziej złożone, niż organizm, jeśli jest w niem tyle rzeczy, zupełnie nieznanych organizmowi, to czyż rozwój organizmu może być pochodnią, schematem dla badania rozwoju społeczeństwa? Czy zjawiska społeczne nie rozsadzą tego schematu? Przytem: jednostkę społeczną znamy: jesteśmy nią sami—i to nam pozwala zrozumieć analitycznie procesy społeczne. Cóż nam może przy tem pomódz jednostka organiczna, komórka, której życie wewnętrzne jest dla nas ciemne? Objaśniać formy łączności jednostek za pomocą form łączności komórek jest rzeczą tak samo jałową i fikcyjną, jak wyprowadzić te ostatnie z chemicznych form łączności atomów, składających komórkę. Najlepszy dowód, że np. zarys historyi rozwoju społeczeństw w tym zakresie, na jaki pozwalają zebrane materyały, był nakreślony wcześniej i zupełnie niezależnie od Perrierowskiej teoryi rozwoju organizmu. Kto wie, czy raczej nie było tu oddziaływania zupełnie odwrotnego?

Przykład Darwina, na którego, jak wiadomo, silny wpływ wywarła teorya społecznej walki o byt Malthusa, świadczy, że odkrycia, czynione w dziedzinie społecznej, mogą rzeczywiście czasem służyć za wytyczne w dziedzinie biologicznej. Przykład ten wprawdzie nie odnosi się do życia wewnętrznego organizmów, ale Edm. Perrier wyraźnie oświadcza, że według niego organizm może być pojmowany tylko jako społeczeństwo. Jeśli porównamy określenia, dane przez Wormsa: „organizm — jest to żywa całość, złożona z żywych części,“ „społeczeństwo — jest to stałe połączenie istot żyjących, których całe życie toczy się wspólnie,“ to, zastrzegłszy się tylko przeciw ontologicznemu pojmowaniu „żywej całości,“ przynajmniej społecznej, będziemy musieli przyznać, że określenia te są rzeczywiście identyczne. Tarde wyprowadza stąd najdalsze konsekwencye, przenosząc swój „społeczny punkt widzenia“ aż do wnętrza komórek, cząsteczek i atomów. Worms odwraca tylko ten punkt widzenia i staje na drugim końcu perspektywy, a wtedy społeczeństwo musi wydawać mu się organizmem.

O „socyologii powszechnej“ Tarde'a miałem już sposobność wypowiedzieć swe zdanie*). Zbyt mało jeszcze znamy zarówno społeczne stosunki jednostek, jak wewnętrzną naturę komórki, a tembardziej cząsteczki fizycznej, aby socyologia mogła nam rzeczywiście coś wyjaśnić w organizmie. Stąd również wynika, że i fizyologia nie nauczy nas niczego o społeczeństwie. Być może, że kiedyś, w odległej przyszłości, dwie te dziedziny będą dwoma następującemi po sobie rozdziałami jednej ogólnej filozofii form we wszechświecie; ale tymczasem rozsądek nakazuje rozdzielać je ściśle i pracować nad każdą zupełnie samodzielnie. A przedewszystkiem sumienność naukowa socyologa, który z góry oświadczył, że w społeczeństwie jest mnóstwo zjawisk zupełnie obcych organizmowi, wzbrania mu wszelkich praktycznych zastosowań fizyologii w życiu społecznem, w polityce. Tymczasem Worms najspokojniej oświadcza, że „to, co się dzieje w organizmie, wskaże nam, jakby się powinno dziać w społeczeństwie,“ i pisze dziesiątki stronic „medycyny społecznej“ bez najmniejszej naukowej wartości.

Niech nikt nie przypuszcza, że potępienie tej „polityki organicznej“ dyktują nam jakieś względy stronnicze. Tarde powiedział gdzieś dowcipnie, że zasady są jak owe butelki magiczne, z których można nalać wszystkiego, czego kto zażąda. W XVII w. uniwersytet oxfordzki wyprowadzał z Biblii prawo króla, jako potomka Adama, do majątku wszystkich poddanych; purytanie na podstawie tej samej Biblii skazali Karola I na śmierć. Na prawie naturalnem opierali zarówno Locke i Rousseau teoryę rewolucyi, jak Hobbes i Haller — teoryę absolutyzmu. Dziś z teoryi organizmu społecznego Spencer wyprowadza zasadę nie-interwencyonizmu, Krusiński — cały zapas polemicznych argumentów za zasadą całkiem przeciwną, Schaeffle—rodzaj socyalizmu państwowego, a Worms—znowu obiera złoty środek i domaga się szeregu reform, „mogących nasypać nieco ziemi w przepaść między bogatymi i biednymi“ i broniących w ten sposób własności. Każde stronnictwo może znaleźć argumenty w teoryi organistycznej: wszystkie będą miały może wartość erystyczną, a raczej sofistyczną, ale naukowej żadnej.

Szczególnie zaś, naturalnie, podejrzanymi będą zawsze ci teoretycy organizmu społecznego, którzy nie przestają na różne tony powtarzać bajki Menoniusza Agrypy. Krusiński wykazał, że nie jest ona niezbędnym wnioskiem z porównania społeczeństwa do organizmu i w ten sposób umożliwił objektywną dyskusyę nad tą kwestyą. Ale cóż, kiedy dla wszystkich innych, od Spencera aż do Wormsa, bajka ta jest, zdaje się, najcenniejszą częścią całej teoryi..

Kazimierz Krauz.

*) *Bibliothèque Sociologique Universelle*, t. II. — *La Pathologie sociale*. Paryż, 1896.

*) *Prawda* nr. 45 i 46 r. 1895.

LITERATURA I SZTUKA.

PRZEGLĄD MUZYCZNY.

Z estrady i ze sceny.

Zakończył się sezon koncertowy — w operze dobiegamy do końca kampanii tegorocznej. Na ostatnim koncercie Towarzystwa muzycznego przypomniał się publiczności tutejszej, pełną zapału deklamacyą, znany artysta dramatyczny, p. Józef Kotarbiński. Pożegnał słuchaczów przed wyjazdem na dłuższy urlop utalentowany barytonista naszej opery, p. Wiktor Grąbczewski. Każdy występ młodego śpiewaka świadczy, że nie ustaje on w pracy; głos, szlachetnie brzmiący z natury, dzięki prawidłowej emisyi i wytwornemu frazowaniu, ma możność oddawania całej skali uczuć — gdyby p. Grąbczewski chciał jeszcze puścić trochę wodzy temperamentowi, zwłaszcza na scenie, w grze aktorskiej, stanąłby wkrótce niewątpliwie w gronie pierwszorzędnych śpiewaków operowych. Czy pani d'Onori ma aspiracye sceniczne, nie wiemy; że jednak nie posiada do nich danych z natury, o tem przekonała nas dowodnie, pomimo wykonania aryj operowych (z „Andrea Chenier“ Giordano i „Ruy Blasa“ Marchetti'ego). Przedewszystkiem głos, w niższej skali — dość ogółem rozległej — brzmiący dosyć przyjemnie, jest w tonach wyższych taki krzykliwy, ostry, niewyrównany, iż zdaje się, że z zupełnie innej wydobywa się krtani; przytem frazowanie pozbawione jest wszelkiego poczucia stylu, a dykcya—niewyraźna. Gry p. Rogowego (wiolonczela) słuchać można z przyjemnością; ton niezbyt głęboki, uczucie umiarkowane, niemała już sprawność ręki, jeśli nie dadzą silnego wrażenia, w niczem nie zepsują wykonywanego utworu.

W operze mamy znanych gości włoskich: panna Pacini, p. Battistini, państwo Piccaluga, a wraz z nimi i ten sam ciągle repertuar, *da capo... senza fine.* Więc „Purytanie,“ „Lunatyczka,“ „Cyrulik Sewilski,“ „Don Juan,“ „Rycerskość wieśniacza,“ i znów „Lunatyczka,“ „Cyrulik,“ „Purytanie“ itd., z „Halką“ lub „Strasznym dworem“ w razie „niedyspozycyi“ którego z Włochów. Ta dorywczość w wystawianiu dzieł Moniuszki, które prawie zawsze — zwłaszcza „Halka“ — w ostatniej chwili bywają umieszczane na repertuarze, smutnie się odbija na ich wykonaniu. Skoro pozyskaliśmy w p. Sienkiewiczu Jontka i Stefana, skoro pani Olgina, czasowo u nas goszcząca, jest jedną z najlepszych przedstawicielek doprowadzonej do samobójstwa zdradą panicza góralki — dlaczego reżyserya tak systematycznie lekceważy obsadę innych partyj tych arcydzieł opery naszej, dlaczego i chóry i cała wystawa świadczą o takiem zupełnem zaniedbaniu? Trudno się dziwić publiczności, że w takich warunkach nie zapełnia teatru, gdy afisz zapowie „Straszny dwór“ lub „Halkę“—nie przyciągnie jej ani p. Kawalski (Zbigniew) swym tremolującym głosem, ani panie Dylewska i Skulska (Jadwiga i Helena), z których pierwsza nie posiada zarówno pod względem wokalnym jak fizycznym żadnych zgoła warunków na odtworzenie postaci miecznikówny, druga zaś swoim pozytywkowym śpiewem nie zdoła podsycić uczucia, jakie w piersi Stefana wzniecił „wzrok pięknej Hanny.“

P. Sienkiewicz, od niedawna stały tenor naszej opery, ma wszelkie warunki po temu, aby z czasem zostać pierwszo-

rzędnym śpiewakiem — nie poskąpiła mu natura ani głosu, ani warunków zewnętrznych. Tenor jego ma skalę rozległą, dźwięk szlachetny, brzmienie metaliczne, w najwyższych nawet tonach nie przechodzące w krzykliwość. Ma przytem p. Sienkiewicz poczucie gry scenicznej, a zatem, powtarzamy, wszelkie warunki na niepospolitego śpiewaka, tylko „z czasem.“ Dzisiaj jeszcze, aby darów tych przyrodzonych nie zmarnować, powinien młody artysta uczyć się i pracować — przedewszystkiem nad emisyą głosu, zupełnie wadliwą, skutkiem czego, gdy pragnie np. wyrazić w śpiewie uczucie rzewne, ściska dźwięki w gardle. Bywa też nieraz, że głos śpiewaka załamie się niespodzianie i jakby gdzieś zanikł — są to wszystko braki łatwe do usunięcia; pracy tylko trzeba i dobrych do niej chęci.

Br. N.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

POWIEŚĆ. K. Junosza, *Suma na Kocimbrodzie* (str. 200), Dubowski i Gajewski.

— A. Szymański, *Dwie modlitwy*, z ilustracyami (str. 229), Gebethner i Wolff.

— Dr. Moncoq, „Odpowiedź na *Rzym* Zoli“ (str. 135), nakładem redakcyi *Śpiewu Kościelnego*.

— W. Reymont, *Fermenty*, powieść (t. I, str. 345, II — 329), Gebethner i Wolff.

— W. hr. Łoś, *Parafianka*, powieść współczesna (t. I str. 271, II — 216), nakładem J. Zawadzkiego w Wilnie.

POEZYE

SPOWIEDŹ.

Próżno roić sny złote i marzyć o wiośnie.
Czarna mi gleba moja piołunami rośnie.
Próżno roić sny złote i marzyć o wiośnie.

Jak nędzny robak, ginę śród życiowych matni.
Z tobą, myślenie moje, mówię raz ostatni,
Bo ginę, jak ten robak, śród życiowych matni.

Wiem, że ty nędzy mojej ukojenia nie dasz,
Więc łez i próżnych jęków nie niosę na sprzedaż.
Wiem to, że nędzy mojej ukojenia nie dasz.

Mózg mi krwią się zalewa i płonie zarzewiem.
Ty szyderczą niemocą witasz moje „nie wiem.“
Kiedy mózg mój krwią broczy i płonie zarzewiem.

Żem niegdyś wierzył w ciebie, dziś powiadam szczerze.
Choć to życia połowę kosztuje: nie wierzę.
Żem niegdyś, niegdyś, wierzył, dzisiaj mówię szczerze.

Nie wierzę w nieomylnej prawdy pusty postrach
I nicość widzę w życia chwilach, śmierci siostrach.
Nie wierzę w nieomylnej prawdy pusty postrach.

Nie wierzę w miłość, co ma światło krzesać światom,
A co zgnilizną trupa pół każdy atom.
Nie wierzę w miłość, co ma światło krzesać światom.

Nie wierzę w tryumfalnie ludzką myśl zwycięzką,
Gdy mi się każdy zamiar kończy krwawą klęską.
Nie wierzę w tryumfalnie ludzką myśl zwycięzką.

Ale jest jedna wielka prawda tu na świecie:
Ból, co mi gardło dławi i co piersi gniecie.
Jedna, niezmienna, wielka prawda na tym świecie.

Żeś mi dał życie poznać, bólu, tyś jest życie,
Tobie od dziś poświęcam każde serca bicie.
Żeś jest, jak wieczność, wieczny, bólu, tyś jest życie.

Błogosławiony jesteś i niczem niesplamion,
Bo oto ducha krzepisz uściśnieniem ramion.
Błogosławiony jesteś i niczem niesplamion.

Nadziemskiej mocy pełen jesteś i słodyczy
I barw milionem błyszczy twój płaszcz tajemniczy.
Nadziemskiej mocy pełen jesteś i słodyczy.

Bądź pozdrowiony w białej poświęceń koronie,
Bo gdzie przejdziesz, tam gwiazda na wieki zapłonie.
Bądź pozdrowiony w białej poświęceń koronie.

Wrota ci chaty mojej otwieram naścieżaj,
Pierś odkrywam i mówię tobie: tu uderzaj.
Wrota ci chaty mojej otwieram naścieżaj.

Piękny jesteś, jak miłość, i wielki, jak spokój;
Ramionami mnie okrąż i splotami okuj.
Piękny jesteś, jak miłość, i wielki, jak spokój.

Jak niegdyś w sny różane, teraz w ciebie wierzę.
Tobie pieśni układam i szepcę pacierze.
Jak w te sny, teraz w ciebie wierzę, wierzę, wierzę...

Władysław Sterling.

SPRAWY EKONOMICZNE

Z NIEMIEC.

Berlin, 6 maja.

Upadek rzemiosła w Niemczech. — Pomnikowa praca. — Bezczynność rządu. — Środki połowiczne. — Majstrowie i czeladnicy.

W dziedzinie reform społecznych najjaskrawiej sprawdza się przysłowie, iż dobremi chęciami piekło jest wybrukowane. W tej właśnie sferze działalności ludzkiej, gdzie decydują często potęgi nieznane człowiekowi, gdzie płatają figle żywioły, których wpływy nie dadzą się ani przewidzieć, ani obliczyć, szczere i zacne zamiary pozostają płonnemi, o ile nie towarzyszy im energia i głęboka znajomość rzeczy, pomijając te wypadki, kiedy jedynem wyjściem jest zdanie się na łaskę woli ślepego losu i opuszczenie rąk w imię Spinozowskiej zasady, iż sprawy świata ludzkiego należy tylko pojmować. Od dwu przeszło lat krząta się rząd około kwestyi, jak zaradzić smutnemu stanowi podupadającego tu rzemiosła i w żaden sposób nie może wydostać się z deptaka reform, ratujących je na papierze. Z początku, nie chcąc imać się rzeczy, z powodu której tyle staczano sporów, ignorował całą sprawę, a od czasu do czasu zbywał zarzuty i interpelacye frazesami, zapożyczonymi ze starych podręczników lub zaakcentowaniem okoliczności, iż zdanie co do położenia rzemiosła nie jest ustalone. Obowiązkiem jego było zbadać ściśle kwestyę sporną, lecz widocznie sprawianie armat i wyłudzanie od parlamentu czwartych batalionów jest rzeczą ważniejszą. Rząd wyprzedziło prywatne „Stowarzyszenie dla polityki społecznej.“ Podjęło się ono wyświetlenia rzeczy za pomocą specyalistów i opracowania rezultatów. Przed kilkoma tygodniami ukończyło ono pracę, którą znawcy ogłaszają za dzieło pomnikowe. „Badania nad położeniem rzemiosła w Niemczech“ obejmują 10 tomów, ułożonych pod redakcyą znakomitego ekonomisty lipskiego, Karola Büchera, który wywiązał się ze swego zadania w sposób nader sumienny. Gdy po wyjściu pierwszych trzech tomów w rozmaitych okresach rozległy się głośno lub szeptem zarzuty, iż badań dokonywano jednostronnie, podług subjektywnego szablonu, prof. Büchner zaprosił krytyków do współpracownictwa. Oczywiście nie zgłosił się ani jeden z tych odważnych mężów. W wypracowaniu wielkich monografij przyjęło udział 100 uczonych rozmaitego kierunku. Redaktor nie zawahał się nawet zaciągnąć do pracy studentów z seminaryów ekonomicznych przy większości uniwersytetów niemieckich. 44 prace poświęcono Prusom, 29 rozpatruje rzemiosło saskie, 19 zajmuje się badeńskiem itd. Nie zapomniano najbardziej miniaturowych księztewek. Wielkie miasta zaprzątnęły 45 badaczów. Zbadano 47 gałęzi rzemieślniczych, z których stolarstwo np. jest przedstawione obszernie 12 razy, szewctwo 9, ślusarstwo 8, krawiectwo 7, garbarstwo 6 itd. Jak widzimy, autorzy i cały sztab współpracowników nie szczędzili trudów, aby nareszcie wykazać istotny stan rzeczy. Należy nie zapominać jednak, iż praca nie zapuszcza się w teoretyczne dysputy i roztrząsania, podaje jeno materyał w formie uporządkowanej, a więc nadającej się do wywodów naukowych. Na podstawie zebranych wiadomości łatwo jednak odpowiedzieć na pytanie: o ile rzeczywiście są usprawiedliwione biadania rzemieślników na niesłychanie ciężkie czasy. Wprawdzie wbrew obiegającym w tej mierze komunałom maszyna i rozwój techniki są jedynymi sprawcami klęski. Twierdzenie to jest słusznem tylko w zastosowaniu do niektórych gałęzi przemysłu niemieckiego, jak tkackiego, guzikarskiego, farbiarskiego i gwoździarskiego. Wogólności atoli ciesze kołki na głowie rzemieślnika kapitał wielki, pod którego egidą sprzysięgły się przeciwko niemu najrozmaitsze czynniki dla wysadzenia go z siodła. Niemieckie fabryki obuwia np. wyrabiają nadzwyczaj lichy towar; zdawałoby się, że rzemieślnik powinien zwyciężyć, a jednak stoi on bezsilnym wobec tego, iż wielki kapitał łatwo monopolizuje rynki pomimo licznych kosztów, które pochłaniają usługi pośredników handlowych. Chwyta on się wszelkich wynalazków i ulepszeń, za pomocą celuloidu i gumy ruguje drzewo tokarza, wyroby emaliowe wprowadza zamiast naczyń drewnianych, szklane zamiast glinianych. Przychodzi mu często z pomocą moda, zmieniająca zwyczaje ludzi z kalejdoskopową szybkością, do której nie jest w stanie zastosować się drobny wytwórca. Wielki kapitał zagarnia wyrób półfabrykatów. W przemyśle konfekcyjnym i stolarskim powierza proceder pośrednikom (Zwischenmeister) i rujnuje drobnego przemysłowca. W ten sposób w przeciągu ostatnich lat 30 dokonał w Niemczech niesłychanej rewolucyi i wytworzył w życiu gospodarczem nową atmosferę, w której musi wyzionąć ducha karzeł przemysłowy. Jak widzimy, ankieta nie owija sprawy w bawełnę optymistyczną i stwierdza w zupełności zdanie o upadku rzemiosła. Rząd, który powinien był zwrócić baczniejszą uwagę na odbywający się przed jego oczyma przewrót, nie uczynił prawie niczego, czem dowiódłby szczerej chęci przyjścia z pomocą zwyciężonym. Prusy, klasyczny kraj junkierstwa, biurokracyi, militaryzmu i wstecznictwa mnożyły tylko cła i tak mało nadawały np. wagi wprowadzeniu szkół fachowych dla rzemieślników, iż pod tym względem pozostały w tyle za Hesyą, Badeńskiem i Wirtembergiem. W r. 1882 rzemieślnicy postanowili energiczniej nacierać na rząd. W programie figurowało na pierwszem miejscu żądanie cechów przymusowych. Co prawda, istnieje w samych Prusiech 8,000 cechów, w których panuje tak dalece cisza cmentarna, iż nikt nie potrafiłby powiedzieć o nich czegoś bardziej określonego. Rząd przytem nie zabrania rzemieślnikom tworzyć stowarzyszeń, gdyż pod tym względem jest on łaskawszym dla przedstawicieli drobnego przemysłu, niż dla najmitów, nie mogących dotąd uzyskać zupełnej wolności łączenia się. Możnaby więc zapytać: po cóż ten powrót do średniowieczyzny? Prawdopodobnie wskutek wybujałego indywidualizmu dobrowolne łączenie się nie może przyjść do skutku, a z tego powodu jest koniecznem wdanie się państwa, aby zapomocą prawa spoić rozluźnione ogniwa. Państwo jednak dalej mało się troszczyło o los biedaków, nieimponujących

potęgą. W r. 1884 na kongresie rzemieślniczym zagrozili przejściem do obozu krańcowej lewicy, w razie jeśli rząd nie pozbędzie się swej apatyi. Zaczęto się oglądać za partyą, któraby wzięła w opiekę pomiatanego kopciuszka. Wszystkie stronnictwa podały oferty, najwięcej jednak obiecywał demagogiczny antisemityzm. Od tego czasu stał on się w Niemczech oficyalnym orędownikiem cechowego romantycznego rzemiosła, wskutek czego rozwija się silnie nawet tam, gdzie żywioł semicki jest słabo reprezentowany, jak np. w Saksonii. Nareszcie, gdy agraryusze konserwatywni, spekulując na głosy antisemickie, poparli żądania rzemieślników cechowych, wybiła godzina tryumfu dla nich. Rząd niemiecki, który zdaniem naiwnych marzycieli stoi ponoć nad partyami, a za misyę swą obrał opiekę nad słabymi, skapitulował nareszcie i zaofiarował swe usługi. Pruski obiecał wszystkiemu zaradzić. Jeśli rzemieślnicy cechowi żądają cechów obowiązkowych, to gotów na to udzielić swego błogosławieństwa. Minister Berlepsch wypracował odnośną ustawę, którą oddano pod obrady publiczności. Opinia prasy i sfer kompetentnych wypadła dla niej niepochlebnie. Zwłaszcza liberalni południowcy jednogłośnie obruszyli się przeciwko wskrzeszeniu instytucyj, pogrzebanych pod gruzami rewolucyi przemysłowej. Zresztą sam rząd zrozumiał, iż cechy przymusowe są farsą wobec tego, że obok cechów występuje wielki przemysł w doskonałym rynsztunku pomimo braku organizacyi. Cechy przymusowe nie są w stanie wywrzeć wpływu na całokształt przemysłu, skoro tu przewodzi kapitał wielki. To też rząd pruski cofnął swój pomysł i powierzył sprawę Radzie związkowej. Instytucya ta ogłosiła obecnie swą przeróbkę i znowu oddano ją na pastwę krytyki. Podczas gdy w myśl pierwotnego projektu rząd obowiązany był wprowadzić wszędzie cechy, gdzie nie oświadczała się przeciwko nim większość rzemieślników, nowa ustawa za warunek powstania cechu przymusowego stawia zgodę, a nawet wyraźną inicyatywę ze strony większości. W tym wypadku zresztą rząd ma prawo nakładać swe *veto*, jeśli uważa cechy za kulę u nóg przemysłu miejscowego, mogącego dla obrony rzemiosła w danej miejscowości posługiwać się innemi instytucyami. Eklektyczny ten półśrodek nie przypadł do smaku zwolennikom cechów przeważnie dlatego, iż rząd zamierza wziąć pod swe skrzydła opiekuńcze nietylko majstrów, lecz i czeladników, mających również zorganizować się zapomocą rozmaitych instytucyj. Pomimo iż czeladnicy nie mieliby głosu w izbach rzemieślniczych, czuwających nad dobrem całego stanu, majstrowie nie chcą słyszeć o jakichkolwiek układach pod tym względem. Owszem, zaprotestowali oni w tych dniach na kongresie rzemieślniczym przeciwko zatwierdzonej przez sejm rzeszy ośmiogodzinnej pracy dziennej w piekarniach i zażądali przedłużenia dnia roboczego co najmniej o cztery godziny. Tymczasem rzemieślnicy stracili wiele w oczach opinii publicznej, gdyż zwracając ostrze prawa przeciwko swym podwładnym, pozbyli się aureoli męczenników ewolucyi przemysłowej. Połowiczna ustawa, chcąc dla formy dać dowody uprzejmości, czyni jeszcze inne ustępstwa. Tak np. do wypuszczania czeladników ma upoważniać tylko tytuł majstra. Może być, iż fuszerka przez to się zmniejszy, a publiczność stanie się nieco łaskawszą dla produkcyi rzemieślniczej. Trzeba jednak wątpić, aby wprowadzenie projektu zainaugurowało jutrzenkę ery nowej, szczęśliwej dla bankrutującego rzemiosła.

H. F.

W DALI.

Piotrków. Prowincya coraz gwałtowniej odczuwa potrzebę kredytu hypotecznego; obecnie zaś obudza wielkie ożywienie sprawa rozszerzenia działalności Towarzystw kredytowych miejskich w ten sposób, ażeby miasta pomniejsze mogły zogniskować swoje potrzeby w tych instytucyach. Ponieważ zabiegi o utworzenie oddzielnego Towarzystwa kredytowego miejskiego w Tomaszowie spełzły na niczem, więc obywatele miejscowi starają się o rozszerzenie działalności Instytucyi piotrkowskiej. Tomaszów, oprócz 20 nowych kamienic, posiada 500 nieruchomości, zabudowanych przeważnie domami murowanymi, oszacowanymi na 2,300,000 rs., a ubezpieczonymi na 1,200,000. Kredyt hypoteczny tego miasta zmonopolizowało kilku kapitalistów, co zgubnie działa na interesy właścicieli i rozwój miasta, a pośrednio obarcza ubogą ludność robotniczą, która nie może znaleźć tanich mieszkań. Będzin również stara się o przyłączenie do kredytu Towarzystwa piotrkowskiego. *Tydzień* utrzymuje, iż bankierzy i kapitaliści będzińscy wszelkimi sposobami starali się sparaliżować te zabiegi. Skoro mowa o Będzinie, musimy zaznaczyć, iż nie posiada on żadnej roślinności ani w swoim obrębie, ani w okolicy przy drogach; 20,000 ludzi mieszka jakby w pustyni, śród wiecznego kurzu, wywoływanego nieustannym ruchem furmanek. Nieszczęśliwi ci mieszkańcy widzą tylko dokoła ten kurz i dym; w rezultacie zaś ogromny procent zapada na choroby dróg oddechowych.

Lublin. Odbyła się doroczna wystawa koni włościańskich. Z powiatów: Lubelskiego, Janowskiego i Nowoaleksandryjskiego dostarczono 75 sztuk, wszystkie przeważnie półkrwi angielskiej i kilka perszeronów, niezbyt rosłych. Według przepisów o wystawach koni włościańskich, powinny być nagrodzone pociągowe, zdatne do gospodarstwa rolnego i rozpłodu, nie mające wad organicznych i wyłącznie w wieku przepisanym (od 3 do 5 lat i źrebięta jednoroczne). W wystawach tego rodzaju mogą uczestniczyć włościanie, drobni mieszczanie - rolnicy i duchowieństwo wiejskie, zajmujące się rolnictwem. W r. b. wyznaczono na nagrody o 50 rs. więcej, niż w przeszłym. Rozdano razem rs. 250 w kwotach od 5 do 20 rs. Suma powyższa jest śmiesznie małą i trudno przypuszczać, ażeby ona była dostatecznym bodźcem do hodowli racyonalnej. Ktoś proponuje, ażeby Towarzystwo wyścigów konnych w Królestwie Polskiem ze swoich dochodów zechciało przeznaczyć corocznie pewną kwotę na nagrody dla włościan. Przyczyniłoby się to do rozwoju hodowli, a na wystawę przyprowadzanoby konie nawet z dalszych okolic gubernii.

Petersburg. *Pet. Wied.* zwróciły uwagę na nienormalneześrodkowywanie się kapitałów w wielkich miastach, z ujmą dla kredytu i przemysłu prowincyonalnego. Przykładem „prawdziwej hachanalii kapitalistycznej“ może być bilans jednego z banków petersburskich, z którego wynika, że instytucya mająca 20 mil. rs. kapitału zakładowego, z zysku, w ilości 4.3 mil. rs., wyznacza: dyrektorowi i pomocnikowi 198,000 rs., zarządowi 117,000 rs., do rozporządzenia rady 234,000 rs., na pensye urzędnikom 234,000 rs., dla założycieli banku 467,000 rs. Autor zaznacza potrzebę baczniejszej kontroli nad działalnością akcyjnych przedsiębiorstw bankowych w Rosyi, a zwłaszcza w Petersburgu.

DONIESIENIA URZĘDOWE.

PRZEPISY

co do przyjmowania i doręczania, stosownie do przeznaczenia, ofiar przyjmowanych w redakcyach pism warszawskich:

I. Redakcye pism mogą przyjmować ofiary wyłącznie na cele następujące:

a) na rzecz instytucyj dobroczynnych i innych użyteczności ogólnej, istniejących na mocy pozwolenia rządu;

b) na rzecz mieszkańców miejscowości, nawiedzonych przez różne klęski, jak: pożary, powodzie, epidemie itd.;

c) na rzecz ubogich uczniów i uczenic zakładów naukowych;

d) na zezwolone przez rząd budowy kościołów i innych gmachów publicznych.

Uwaga. Przyjmowanie ofiar przed uzyskaniem pozwolenia na budowę może się odbywać tylko na zasadzie specyalnego pozwolenia władzy miejscowej.

e) na rzecz ubogich, chorych, sierot i innych osób znajdujących się w potrzebie, o których redakcye będą informowały ogół.

II. Redakcye są obowiązane:

a) ogłaszać o wszystkich ofiarach w najbliższych numerach swych wydawnictw;

b) prowadzić osobny kwitaryusz oparafowany, w którym ma być zamieszczone, kto, ile i na jaki cel lub dla kogo złożył;

Uwaga. Jeśli ofiarodawca chce pozostać nieznanym, robi się stosowna adnotacya w księdze.

c) oprócz kwitaryusza, prowadzić książkę kontową, podzieloną na kategorye ofiar:

Uwaga. Kwitaryusz i książka kontowa mają być przed użyciem przesyłane p. oberpolicmajstrowi do oparafowania i przyłożenia pieczęci.

d) posiadać dowody, że ofiary zostały doręczone podług przeznaczenia;

e) kwitaryusze i książka kontowa wraz z dowodami mają być okazywane osobom, które będą upoważnione przez instytucye właściwe do skontrolowania ofiar;

f) jeśli ofiary, przenoszące rs. 100, z powodów niezależnych od redakcyi pozostają przez czas dłuższy w kantorze, to redakcye powinny zamieniać je na papiery procentowe, aby procent mógł być doliczony na rzecz tej instytucyi lub osoby, dla której były złożone.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Na początku roku przyszłego mają być zniesione sądy handlowe.

— *Now. Wr.* otrzymało ostateczne wyniki spisu ludności, według których państwo liczy 64,616,280 mężczyzn i 64,594,833 kobiet. Najludniejsze miasta: Petersburg 1,267,013, Moskwa 988,610, Warszawa 614,752. Odesa 404,651, Łódź 314,780, Ryga 282,943, Kijów 248,200, Charków 170,682, Tyflis 159,862, Wilno 159,569, Taszkient 156,506, Saratów 133,116, Kazań 131,508.

— *Kuryer Warsz.* pisze: „W sprawozdaniu, dotyczącem szkolnictwa w obrębie gub. Warszawskiej, zamieszczonem w organie urzędowym, znajdujemy taki szczegół: „Dla 13 bibliotek nauczycielskich i dla bibliotek elementarnych wiejskich i miejskich w ciągu r. 1896 prenumerowano następujące czasopisma: *Siewier* (20 egzemplarzy), *Płodowodstwo* (20 egz.) i *Warsz. Dniewn.* (15 egz.).“ Dlaczego dyrekcya naukowa warszawska taki skąpy wybór czyniła w czasopismach? Dlaczego np. nie prenumerowano pism ludowych tutejszych, jak np. *Zorza* i *Gazeta Świąteczna* lub specyalnych: *Ogrodnika Polskiego* i *Kuryera Rolniczego*?“

— Senat uniwersytetu krakowskiego postanowił w setną rocznicę urodzin Mickiewicza ustawić w głównym gmachu uniwersytetu popiersie wieszcza. W tym celu wezwano do składek profesorów tudzież wychowańców dawnych i słuchaczów obecnych.

Szkoły. W Chełmie powstaje internat przy seminaryum nauczycielskiem.

— Ministeryum rolnictwa urządzi przy niższych szkołach rolniczych warsztaty rzemieślnicze.

— W Krakowie otwarto szkołę prania i prasowania bielizny.

— Szkoła mechaniczno-techniczna inżeniera Mittego w r. b. będzie przeniesiona do gmachu własnego przy ul. Mokotowskiej. Jednocześnie otworzy kurs trzeci wydziału mechanicznego i pierwszy chemicznego.

— W Łodzi powstaje wkrótce prywatna trzyklasowa szkoła handlowa z kursem przygotowawczym. Do klasy I-ej przyjmowani będą kandydaci od 12 do 15 roku życia, bez różnicy stanu i wyznania, po przedstawieniu świadectwa z ukończenia dwuklasowej szkoły elementarnej lub zdaniu egzaminu odpowiedniego.

Zdrowie publiczne. Sezon w Druskienikach trwać będzie od 27 maja do 27 września.

Koleje i komunikacye. Kolej Łukowsko-Lubelska wkrótce będzie otwarta; jednocześnie zniesione będą trakty pocztowe: łukowsko - parczewski przez Radzyń i radzyńsko-lubelski przez Kock i Lubartów. Następnie w Kocku i Parczewie poczthalterye będą zupełnie skasowane.

— Zgromadzenie nadzwyczajne akcyonaryuszów Towarzystwa kolei Nadwiślańskiej postanowiło upoważnić radę zarządzającą do ukończenia rachunków z rządem i do potrącenia po 2 i pół rs z każdej akcyi na wydanie nagród i zapomóg spadłym z etatu i najstarszym pracownikom kolei, oprócz wynagrodzenia ze strony skarbu.

— Z wprowadzeniem letniego rozkładu jazdy kolej Wiedeńska podniosła o 25% cenę biletów wszystkich trzech klas w pociągach pośpiesznych (niezależnie od kuryerskich).

Katastrofy kolejowe. D. 12 maja na kolei Baltyckiej w pobliżu stacyi Bokenhof rozbił się pociąg wojskowy, wiozący dwa bataliony pułku krasnojarskiego. Straciło życie na miejscu lub zmarło skutkiem ran 56 szeregowców; otrzymało ciężkie rany 43, lekkie 37 szeregowców i 3 oficerów. Ze służby pociągowej zabici dwaj konduktorowie, jeden raniony. Przyczyną katastrofy była nagła ulewa, która zalała plant i zniszczyła pokład balastowy. Na 25 minut przed wypadkiem przez to miejsce przeszedł zupełnie szczęśliwie pociąg pocztowy. Łuk drogi i nagła ciemność, spowodowana gwałtowną burzą z deszczem i gradem, nie pozwoliły maszyniście dojrzeć niebezpieczeństwa.

— W pobliżu stacyi Jekaterynosław spotkały się pociągi: towarowy z roboczym. Zabity jeden robotnik, ranieni: maszynista, dwu konduktorów i dwu robotników.

— D. 12 maja na odnodze Penzeńskiej kolei Moskiewsko-Kazańskiej, skutkiem podmycia plantu przez wielką ulewę, wykoleił się pociąg towarowy. Dwu ludzi pokaleczonych.

— Z Berlina telegrafują, iż w nocy d. 18 b. m. pod Gerolsteinem wykoleił się pociąg wojskowy, idący do Elsenbornu. Jedenastu ludzi zginęło, przeszło 30 ranionych.

Wylewy. Na Węgrzech rzeki górskie wylały i poczyniły spustoszenia. W Rumunii woda poprzerywała komunikacye i poznosiła mosty. W okolicy Wiednia skutkiem powodzi koleje i liczne budowle uszkodzone.

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu N. M. w Krakowie. Nie.

Panu J. G. we Lwowie. Nie możemy korzystać, gdyż posiadamy w Galicyi dwu korespondentów.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 9 Мая 1897 г.

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa ul. Mazowiecka, Nr. 8.